Dziś w numerze: Kruszon i polityka • Moje wędrówki po Budapeszcie • W Szydłowicach • Brzeźnicy losu koleje • Pigmeje wychodzą z lasu... • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy

Nr 23 (385)
12. VI. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

JAN BĄBIŃSKI

Fotografia z Colmar

Przyznam, że największe wrażenie zrobiło na mnie małe zdjęcie z Colmar. Jestem tego absolutnie pewien choć mam za sobą stos książek o stosunkach francusko-niemieckich. Mam za sobą również lekturę kilku dość unikalnych pozycji o hitlerowskiej okupacji we Francji. W tych dniach skończyłem grube tomisko, ułożone w reportażowy ciąg o powstaniu paryskim z 1944 roku pt. „Paris brule-t-il?", którą wydano w Paryżu w 1964 roku. Paris brule-t-il? — Czy Paryż stoi w płomieniach?

To pytanie zadał Hitler swoim generałom.

25 sierpnia 1944 roku w Kwaterze Głównej Hitlera rozpoczęła się o godzinie 13 narada strategów III Rzeszy. Przed chwilą nadszedł telegram — Oddziały alianckie wdzierają się do centrum Paryża... Hitler rzucił telegram na stół. Zbladł i uderzając pięścią w rozrzucone przed nim mapy, wpadł w kolejny atak szału. Jego ryk tłumiły grube ściany bunkra. Ci jednak, którzy go otaczali słyszeli ten ryk doskonale. Przecież od 8 dni — on Hitler — wydaje rozkaz za rozkazem, by bronić Paryża do ostatniego żołnierza. Dlaczego nie wykonuje się tych poleceń? Przecież wysłał do Paryża wyodrębnione oddziały do specjalnych poruczeń, które miały zaminować wszystkie ważniejsze punkty w mieście i wysadzić je w powietrze. — Czy ten rozkaz został wykonany? — Pieniąc się z wściekłości Hitler zwrócił się bezpośrednio do Jodla:

— Czy ten rozkaz został wykonany?

W bunkrze zapanowała grobowa cisza. Nie odpowiadał nikt. Milczenie. Twarze generałów są kamienne. Bez wyrazu. Hitler podszedł teraz do Jodla na odległość kroku.

— Jodl! Pytam pana czy Paryż stoi w płomieniach. Pytam pana czy Paryż znajduje się już w ogniu?

Ten okrzyk wściekłości, który był też pytaniem, zamieścili dwaj dziennikarze, Francuz Lapierre i Amerykanin Collins, w tytule swej wspólnie zredagowanej książki. Czyta się ją z zapartym tchem jak klasyczne kryminały Conan Doyle'a. Przepraszam za porównanie, ale to naprawdę pasjonująca pozycja. Żadne jednak z autentycznych zdjęć jakich pełno w „Paris brule-t-il?" nie zrobiło na mnie takiego wrażenia jak niewielka fotografia w mało znanym u nas dziele J. Lorraine pt. „Les Alemands en France" — Niemcy we Francji. Na zdjęciu widać stary rynek w alzackim mieście Colmar. W samym jego środku rzuca się w oczy pomnik. Raczej jego pogruchotane, walające się na bruku szczątki. To resztki po rozbitym monumencie generała francuskiego Rappa. Na tle pomnika sylwetka hitlerowskiego oficera z teczką pod pachą. Nieco dalej chłopiec w krótkich spodenkach. Chłopiec spogląda w zamyśleniu na pusty cokół. To wszystko.

Dla mnie wystarczy.

Na placu Wolności w Łodzi leżał na bruku strzaskany pomnik Kościuszki. Na piersi Naczelnika trzymał czarny, podkuty bucior opasły podoficer niemiecki w binoklach na nosie. Z tyłu stał drugi podoficer i robił „Leicą" zdjęcia. Obaj śmiali się przy tym do rozpuku. To był dopiero szpas, taka pamiątka po zdobytym kraju! Na chodniku przed podoficerem tkwił pewien chłopak. Spoglądał na rozbawionych wehrmachtowców i na pusty cokół. Dopiero groźne warknięcie żołnierzy klęczących przy karabinie maszynowym na rogu Nowomiejskiej dodało chłopcu nóg. Uszedł. Uniósł ze sobą wryty w pamięć obraz. Ten obraz jest po dziś dzień nieprawdopodobnie plastyczny. Ostry w każdym szczególe. Nie wiem czy to zdjęcie się zachowało. Czy je znaleziono na ciele podoficera. Mam przedziwną pewność, że podoficer poległ.

Wciąż nie doceniamy waloru takich dokumentów.

Inni już dawno na tym się poznali.

Schwytani do niewoli Anglicy przeszli piekło w japońskich obozach. Anglik ko-

Dalszy ciąg na str. 5

KRZYSZTOF POGORZELEC

Skrzydlaty dorożkarz

Autokar odjeżdża co godzinę z placu Konstytucji. Jazda za pięć złotych do przedpokoju nieba. Wygoda, szyk, nowoczesność. Jeden, drugi zakręt: OKĘCIE.

Gdzieś tam budują nowy dworzec. Za dwa lata stara — co tu dużo mówić buda — pójdzie w odstawkę. Wtedy nie będziemy gorsi. Najnowocześniejsze porty lotnicze Europy to na wyrost wybudowany pod Belgradem Zemun i moskiewskie Szeremietiewo...

— Pasażerowie do Moskwy proszeni są do kontroli paszportowej i celnej!

Speaker zapowiada w trzech językach. Europa!

Najpierw waga — 20 kilogramów na głowę i 5 kg bagażu podręcznego — to jest wkalkulowane w bilet. Co więcej — trzeba dodatkowo płacić i to słono. Trwa ceremoniał odprawy. Kolorowe naklejki na walizki. „Tikett — to kabin", szklana budka — Paszport? Buczek — droga wolna. Następna poczekalnia — już „za granicą" państwa. Choć w Warszawie.

Kawa, papierosy za złocisze, reszta — za dewizy; free shop — tanio, strefa bezcłowa. AVIOMARIN TO SPOKOJNA PODRÓŻ, EAST OR WEST — „LOT" IS BEST!

Spokój, uprzejmość, uśmiechy. Wszyscy są tu NAJWAŻNIEJSZYMI pasażerami.

Jaskrawo oświetlona płyta. Trwa karmienie ptaka. Około 120 ton nafty spreparowanej z jakimś chemicznym środkiem by nie zamarzała. Bufet — dla każdego z pasażerów kawa lub herbata, woda mineralna, bułeczki, ser, mięsiwo zimne, wędlina, ciastka, czekoladka, jabłka. Kolacja albo śniadanie. Tak i tylko „tyle" pozwala IATA — International Air Transport Association międzynarodowy stróż przepisów i fair play między wielkimi przewoźnikami niebieskich dróg.

Godzina 20. Za paręnaście minut odlot. W Moskwie jest już godzina 22.00.

Pasażerowie proszeni są...

* * *

— Uwaga, prosimy zapiąć pasy!

NO SMOKING, NE KURITE, NIE PALIĆ — błyska światłem. Troskliwość stewardess i cukierek do buzi; na wszelki wypadek. **AVIOMARIN TO PODRÓŻ Z UŚMIECHEM...**

J u u ż!

— Kapitan Dauksza wraz z załogą wita Państwa na pokładzie statku powietrznego. Polecimy na wysokości 5 tys. metrów, z szybkością 900 km na godzinę... Życzymy... Dziękuję.... Thank you!

Ceremoniał świetnie wyreżyserowany i psychologicznie wyliczony na momenty, gdy Twoja uwaga powinna być odwrócona na coś innego aniżeli lot. Luksusowe opakowanie, szyk i nowoczesność.

JEDNI Z PIERWSZYCH

Polskie Linie Lotnicze LOT mają już za sobą ładny szmat podniebnej pracy. Wszystko zaczęło się w Nowy Rok 37 lat temu, a więc w roku 1929, kiedy to z dwóch prywatnych przedsiębiorstw „Aero i Aerolloydu" powstało jedno wspólne przedsiębiorstwo, właśnie „LOT". Zresztą wypada tutaj powiedzieć, i to, że nasze tradycje pasażerskiej komunikacji są jeszcze starsze i sięgają roku 1919, a więc zbiegają się niemal z pionierskim okresem rozwoju lotnictwa cywilnego na świecie. Przed rokiem 1939 „LOT" rozwinął szeroką jak na ówczesne stosunki sieć połączeń. W chwili wybuchu II wojny światowej obejmowała ona 15 państw, a łączna długość obsługiwanych przez polskie samoloty pasażerskie tras przekraczała 10 tysięcy kilometrów.

LOT słynie wśród innych międzynarodowych Towarzystw Lotniczych z doskonałego personelu latającego, szczególnie — pilotów. Wśród nich jest bardzo wielu milionerów" powietrznych dróg. Do nich należą m. in. kpt. kpt. Dauksza, Wiśniewski, Kortuz.

Oczywiście po wojnie wszystko trzeba było zaczynać od początku. Pierwszy sprzęt „LOT" to 10 samolotów Li-2, które przekazało wojsko. Latało się także na dwupłatowych Kukurużnikach, zresztą — na czym się wtedy nie latało! W następnych latach sytuacja stopniowo ulegała poprawie i wprowadzano na miejsce starego wysłużonego „demobilu" nowe typy samolotów, z których „Iły-14" oraz „Convairy 240" latają po dzień dzisiejszy. Prawdziwy przełom nastąpił w roku 1960, kiedy to „LOT" zakupił turbośmigłowce „Ił-18", a następnie — w dwa lata później — maszyny Vickers „Viscount".

A teraz trochę statystyki. W roku 1964 samoloty „LOT" obsługiwały 8 krajowych linii oraz 17 połączeń zagranicznych. Łączna wielkość podniebnych tras wynosiła 19.069 km z czego na kraj przypadało 2.800 km. Ogółem w tymże samym roku samoloty

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

Rejon karaibski znów przykuwa uwagę opinii publicznej. Zabójstwo żołnierza kubańskiego w strefie Quantanamo, poprzedzone innymi prowokacjami oraz próba wysadzenia na wyspie grupy dywersantów, którzy, jak oświadczają źródła hawańskie, mieli dokonać zamachu na Fidel Castro — wzmogły znacznie napięcie na linii Waszyngton — Hawana.

Rząd kubański, mając doświadczenia z okresu inwazji w Zatoce Świń, uznał wymienione fakty jako przygotowanie do poważnej prowokacji i wprowadził w kraju stan pogotowia. Oświadczenie Departamentu Stanu USA, że „w istniejących warunkach nie jest brane pod uwagę użycie siły", gdyby nawet miało być prawdziwe, oczywiście nie może być brane pod uwagę. Ujęci dywersanci przyznali przecież, że są z grupy sabotażowej „Comandos L", która służy za szyld osławionej CIA. Trudno więc wykluczać, że ta zbrodnicza agencja wywiadowcza sama prowadzi przygotowania do kolejnej próby inwazji.

Obserwatorzy światowi z zainteresowaniem śledzą bieg wydarzeń i snują rozliczne domysły. Na ogół są jednak zdania, że „otwieranie drugiego frontu" byłoby teraz dla Stanów Zjednoczonych szaleństwem i nie mogłoby pozostać bez poważnych konsekwencji zarówno w ich stosunkach z sojusznikami, jak i wewnątrz kraju. Niektórzy stwierdzają wręcz, że dla Johnsona, byłoby to „samobójstwo wyborcze".

Na nowe amerykańskie incydenty Związek Radziecki zareagował stanowczym protestem i przypomnieniem o swoich zobowiązaniach wobec Kuby.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że socjalistyczna Kuba spędza sen z powiek polityków waszyngtońskich. Fakt, iż dokonała ona wyłomu w systemie amerykańskim, skutecznie oswobadzając się spod „kurateli" północnoamerykańskiego kapitału, traktującego tę strefę jako teren jego bezkarnej penetracji, denerwuje ich podwójnie. Dlatego, że utracili jeden z krajów oraz — dlatego, że jej istnienie rewolucjonizuje i innych Latynosów. Udowodniła to trójkontynentalna konferencja, tworząc coś na wzór „federacji" ruchów wyzwoleńczych Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej.

Pozycja Kuby i osobowość samego Castro, którego „Sunday Times" określa, że „jest tym dla amerykańskiej lewicy, czym był Kennedy dla amerykańskiego liberalizmu" — rzecz zrozumiała — utrudnia sytuację Waszyngtonowi. Głosi się więc „niebezpieczeństwo castroizmu", całkowicie izoluje Kubę oraz... nie zaniedbuje żadnej okazji, by załamać socjalistyczny ustrój wyspy. Temu celowi podporządkowane są również raz po raz powtarzające się prowokacje.

Skutek jest jednak wręcz odwrotny od zamierzonego przez imperialistyczne koła. Pisze o tym kubański dziennik „Juventud Rebelde": „Imperialiści udzielili nam nowej lekcji, nauczyli nas, że Jankesom należy odpowiadać na ich ataki i groźby coraz mocniejszymi ciosami. Takie jest doświadczenie naszej rewolucji".

Równie szybko, jak w strefie karaibskiej, rozwijała się ostatnio sytuacja i na „pierwszym froncie", a właściwie na jego południowowietnamskim odcinku.

Zamach na przywódcę młodzieży buddyjskiej — Thien Minha, podpalanie przez antyreżimowców konsulatu amerykańskiego w Hue i akcja wojsk sajgońskich przeciwko „drugiemu zbuntowanemu" miastu; rozbieżności wśród hierarchii buddyjskiej i porozumienie grupy przywódców z gen. Ky, zapowiedź bojkotu obiecanych przez juntę na wrzesień wyborów — oto wydarzenia, które kolejno notowaliśmy w Wietnamie, a których lista do dnia ukazania się numeru „Odgłosów" z pewnością powiększy się.

W Waszyngtonie z rozwoju sytuacji, a więc faktu, że Ky trzyma się i rozprawia z wewnętrzną opozycją, zacierają podobno ręce. Korespondenci donoszą o „odrodzonych nadziejach" na utrzymanie się obecnego reżimu przy władzy do czasu wyborów. Nam jednak nie wydaje się, że są po temu powody. Ani likwidowanie siłą militarną oporu Da Nang i Hue, ani nawet rozbicie ruchu buddyjskiego nie powinno pocieszać polityków z Białego Domu, ponieważ nie oznacza zaprzestania wewnętrznej walki. A jeśli do tego dodać niepowodzenia w walce z Frontem Wyzwolenia Narodowego, czego wyrazem jest brak postępu przy stale wzrastających amerykańskich stratach w ludziach i sprzęcie — jaki może być powód do zadowolenia?

Korespondenci relacjonują z Sajgonu, że przebywający tam Amerykanie stracili już wiarę w rychłe zwycięstwo wojskowe i mówią o potrzebnych 10, 15, 20 latach... Nie wierzą oni także, aby teraz, czy po wyborach udało się stworzyć taki rząd, który byłby w stanie przy obecnym kursie politycznym utrzymać się długo. Zapytajmy więc jeszcze raz: jaki zatem powód do zadowolenia?

Po Ameryce i Azji — kolej w dzisiejszym komentarzu na Europę.

W poniedziałek rozpoczęła się w Brukseli konferencja 14 państw atlantyckich, która m. in. ma ustalić sprawy organizacyjne NATO.

Tuż przed jej rozpoczęciem „atlantycka czternastka" spotkała się z jeszcze jednym: „nie" Francji. Ta odrzuciła bowiem możliwość podjęcia jakichkolwiek politycznych rozmów na temat swoich wojsk, które przestaną podlegać dowództwu atlantyckiemu.

W tym samym czasie rozeszły się pogłoski jakoby sesja Rady Ministerialnej NATO miała ostatecznie zdecydować o przeniesieniu rady i jej sekretariatu do Belgii, a baz amerykańskich i dowództw wojskowych NATO — do Holandii.

Jeśli takie miałyby być decyzje konferencji (piszę przed ich podjęciem) — oznaczałoby to, że zaczął się finał udziału Francji w militarnej strukturze NATO.

W. SŁAWSKI

PS. Już po napisaniu komentarza napłynęły wiadomości o przemówieniu prez. Dorticosa, które można uznać za odwołanie stanu pogotowia na Kubie. Wynika to z apelu do narodu, aby „z takim samym entuzjazmem, z jakim chwycił za broń, ujął obecnie w swe ręce narzędzia pracy" Dorticos stwierdził, że zdecydowanie narodu i międzynarodowa solidarność „zmusiły imperialistów do zastanowienia się".

Kronika tygodnia

● **Jak podaje organ Wietnamskiej Armii Ludowej, rezultaty walk toczonych od listopada 1965 r. do końca marca br. były dla Amerykanów nieoczekiwanie smutne: unieszkodliwiono 43 tys. żołnierzy amerykańskich i satelickich, w tym — 22 kompanie, 14 batalionów piechoty i 7 batalionów pancernych niemal całkowicie zniszczono. W czasie jednej tylko operacji zginęło ponad 70 tysięcy żołnierzy marionetkowego rządu, zniszczono w tym, prawie w całości, 126 kompanii i 10 batalionów, a 2 pułki unieszkodliwiono. Zniszczono 1310 wojskowych pojazdów.**

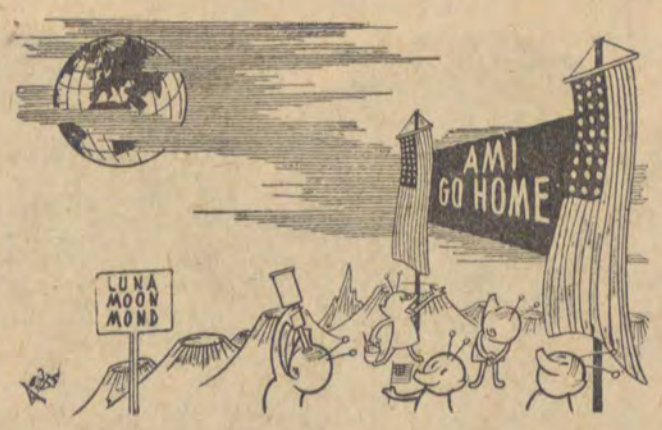

Zapewniam was, że w ten sposób witają Amerykanów również ich przyjaciele na Ziemi...

● Tygodnik US News and World Report omawia w obszernym artykule coraz silniej występującą tendencję inwigilowania osobistego życia obywateli amerykańskich przez instytucje państwowe, samorządowe i prywatne w USA. Tygodnik zwraca uwagę na możliwość powołania do życia, w Waszyngtonie, czegoś w rodzaju centralnej kartoteki, zawierającej osobiste dane o życiu obywateli USA. Realizacja tego projektu byłaby najzupełniej możliwa dzięki istnieniu maszyn matematycznych, ułatwiających segregację materiału i ich błyskawiczne udostępnianie".

● **Ze sprawozdania, opracowanego przez amerykańską agencję do spraw kontroli zbrojeń i rozbrojenia wynika, jak podaje UPI, że świat wydaje obecnie na zbrojenia ponad 130 mld dolarów rocznie, tzn. więcej niż wynosi suma wydatków przeznaczonych w skali rocznej, na całym świecie, na oświatę publiczną i służbę zdrowia. Suma ta opiewa na kwotę 125 mld dolarów rocznie.**

● Jak wynika z komunikatu, ogłoszonego przez System Banków Rezerwy Federalnej, zapasy złota Stanów Zjednoczonych zmalały w ciągu kwietnia br. o dalsze 70 milionów dolarów. Oznacza to, że w przeciągu pierwszych 4 miesięcy br. skarb państwa USA utracił łącznie 138 mln dolarów. Według oceny ministerstwa finansów większość odpływu złota w kwietniu br. należy przypisać polityce Francji, która wymienia co najmniej 34 mln dolarów na złoto miesięcznie.

● **Jak podaje Reuter, Indonezja zaczęła zabiegać o zagraniczną pomoc dla odbudowy zrujnowanej gospodarki. Po wstępnych sondażach w Waszyngtonie, ministrowie Buwono i Malik rozpoczną, przypuszczalnie jeszcze w lipcu br., serię wizyt do ZSRR i W. Brytanii oraz innych krajów wschodnich i zachodnich.**

● W końcu ub. r. Niemiecka Republika Demokratyczna liczyła 17 mln 47 tys. obywateli. W NRD jest o półtora miliona kobiet więcej, niż mężczyzn.

● **Rząd brytyjski opublikował informację, z której wynika, iż w maju bieżącego roku brytyjskie rezerwy złota i walut wymiennych zmniejszyły się o 38 mln funtów szterlingów. Jest to największy miesięczny spadek rezerw od lipca ub. roku. Financial Times obwinia marynarzy, iż wskutek strajku, na rynkach międzynarodowych spadło zaufanie do funta szterlinga.**

● W związku z wytycznymi reformy zarządzania gospodarką narodową, centralny organ KC WSPR „Nepszabadsag", zamieścił artykuł, w którym czytamy m. in.: „Przedsiębiorstwa same będą ustalać swe programy produkcji i zbytu, będą dysponowały stałymi obrotowymi funduszami, potrzebnymi do kontynuowania produkcji. W ten sposób wzrośnie rola samodzielnych decyzji w sprawach związanych z rozwojem przedsiębiorstw, ich mocy produkcyjnej i zakresu działalności. A zatem, w stosunkowo szerokich ramach będą one decydowały o swym losie".

● **Prezydent Naser, w wywiadzie udzielonym indyjskiemu tygodnikowi lewicowemu BLITZ, oświadczył m. in., iż „jego zdaniem ożywienie reakcji arabskiej jest przede wszystkim rezultatem działalności Waszyngtonu i Londynu, które przedstawiają brodatych feudałów... jako papieży islamu, walczących przeciwko rewolucyjnym przywódcom Arabów".**

● Na konferencji prasowej Państwowego Komitetu Łączności Kulturalnej ZSRR z Zagranicą, W. Aboltin — z-ca dyrektora Instytutu Ekonomiki Światowej — oświadczył m. in., iż w roku ub. wyprodukowano w Związku Radzieckim tyle towarów przemysłowych, ile wyprodukowały łącznie czołowe uprzemysłowione kraje Europy zachodniej. Produkcja przemysłowa ZSRR stanowiła 1/5 globalnej produkcji światowej.

● **Agencje zachodnie informują, iż w końcu czerwca br. złoży w Pekinie wizytę delegacja Frontu Wyzwolenia Jemenu Południowego (FLOSY). Przewodniczący delegacji, Kawi Mackawee, miał oświadczyć, iż będzie się starał otrzymać od Chińczyków „pomoc moralną i materialną", a w tym również i broń, do walki z Brytyjczykami w Południowej Arabii.**

● W informacji dla delegatów na XIII Zjazd KPCz, uwzględniono m. in. problemy stopy życiowej w CSRS. Podkreśla się w niej, iż poziom spożycia indywidualnego jest obecnie w CSRS dwukrotnie wyższy, niż w przedwojennej Czechosłowacji. Płaca realna wzrosła o ok. 70 proc. Dochody pieniężne ludności wzrosły w przybliżeniu o 20 proc., osiągając 23,9 mld koron. Realne dochody na jednego mieszkańca zwiększyły się w latach 1961—65 o 8 proc., aczkolwiek wystąpiły w tym okresie pewne zjawiska, hamujące wzrost stopy życiowej.

● **Na przestrzeni lat 1960—64 eksport NRD do krajów kapitalistycznych zwiększył się o 970 mln marek, zaś do krajów socjalistycznych o 2533,6 mln marek. NRD wygrała ostatnio przetarg w konkurencji z NRF na dostawy dwóch wielkich agregatów drukarskich dla Belgii. Okazały się one niegorsze od maszyn NRF, a przy tym tańsze. Równocześnie NRD była w stanie dostarczyć je szybciej niż NRF.**

● UPI, w korespondencji z Londynu donosi: „Podczas, gdy trwa nadal proces przyznawania przez Londyn niepodległości różnym koloniom brytyjskim, to równocześnie w dniu 10 listopada 1965 r. rząd brytyjski utworzył nową kolonię pod nazwą Brytyjskie Terytorium na Oceanie Indyjskim (BIOT). W skład tej kolonii wchodzą: archipelag Chagos oraz wyspy Aldabra, Farguahr i Des Roches".

● **W miesięczniku chińskim „Kitaj na strojkie", wydawanym w języku rosyjskim, na jednej ze stron podany jest dokładny wykaz godzin i pasma fal, na których Chiny nadają audycje w języku rosyjskim. Wykaz obejmuje ponad 20 różnych częstotliwości na falach krótkich i średnich. Audycje chińskie w języku rosyjskim nadaje się 16 razy w ciągu doby, łącznie 16 godzin.**

● Paryski korespondent New York Herald Tribune, Dan Cook, tak pisze o problemach Kwatery Głównej NATO w Paryżu: „Publicznie rząd francuski nadal stoi na stanowisku, że Rada NATO sama musi zdecydować, czy zostanie we Francji. Faktycznie jednak, dobrze poinformowane źródła francuskie utrzymują obecnie, że intencje gen. de Gaulle'a są całkowicie odmienne. Pragnie on, aby Rada NATO również została usunięta, lecz używa w tym celu tzw. „taktyki salami", zdejmując z NATO kawałek po kawałku".

● W komentarzu na temat pobytu Deana Ruska w Finlandii, wysłannik szwedzkiego dziennika Svenska Dagbladet, Per Forslind, stwierdza, że „idea szwedzkiego min. spraw zagranicznych o strefie bezatomowej, obejmującej Skandynawię i kraje Europy Środkowej, sformułowana w szwedzkiej odpowiedzi na notę zachodnioniemiecką uważana jest w Finlandii za nowy szwedzki plan rozbrojeniowy. W kołach politycznych Finlandii koncepcja ta wywołała duże zainteresowanie".

REFLEKSJE POZJAZDOWE

W miesiącu, który minął, nie mogliśmy narzekać na brak imprez wszelkiego rodzaju. Było ich raczej o wiele za wiele. Ktoś, kto miał ambicję uczestniczenia choćby tylko w ciekawszych spotkaniach i naradach, musiał pogodzić się z tym, że byłby to trud daremny i wybrać z wielkiej obfitości to, co mu najbardziej odpowiadało. Zwłaszcza niektórzy z nas, łodzian, byli w nie lada kłopocie. Oto w tych samych końcowych dniach maja, tyle że w trzech różnych miastach, odbywały się jednocześnie: I Ogólnopolski Festiwal Poetycki, III Festiwal Poezji im. Gałczyńskiego oraz IX Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych.

Wybrałem się na ten ostatni do Bydgoszczy, jako, że mam zadawniony sentyment do „polskiego zachodu", a i napisało się na ten temat co nieco. Zacznę też od razu od komplementu pod adresem bydgoszczan: są znakomitymi organizatorami. Wszystko tak przygotowali, że nikt nie miał powodu do psioczenia. „Grała" każda akcja, a i zadbano o to, by pisarze mogli zwiedzić Ziemię Bydgoską i podyskutować z ludnością na spotkaniach autorskich. Więc nie tylko się siedziało i słuchało referatów zjazdowych. Zdołaliśmy poznać wykopaliska w Biskupinie, Bory Tucholskie, pierniki toruńskie, Grudziądz i kilka innych miast. A sam program zjazdu, jego tematyka, dyskusja? Referentów było trzech: Witold Nawrocki mówił o obrazie Ziem Zachodnich w pamiętnikarstwie i na kartach literatury pięknej, Jan Górec-Rosiński o nowoczesnych środkach upowszechniania kultury (radio, telewizja itp.), a Wilhelm Szewczyk, znawca problematyki niemieckiej, dał przegląd poczynań rewizjonistycznych w NRF na terenie tzw. literatury odwetowej. Był to zatem materiał dostatecznie rozległy do dyskusji, sporo też na te tematy mówiono, dorzucając szczegóły i rozszerzając lub precyzując postawione przez referentów sprawy i zagadnienia. Zjazd zakończył się bardzo podniosłym akcentem: na rynku bydgoskim, na którym w pamiętnym roku 1939 hitlerowcy urządzili „krwawą niedzielę", odbyła się wielka manifestacja z udziałem uczestników zjazdu i licznie zebranej publiczności. Mowy były krótkie i dobitne: byliśmy tu, jesteśmy, będziemy. Fakt, że w zjeździe wzięli udział przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i państwowych, przydał mu, rzecz jasna, wagi i znaczenia.

Ponieważ bywałem na zjazdach dotychczasowych, mogłem ten zjazd porównać z poprzednimi. Nie ulega wątpliwości, że zjazdy pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych stały się imprezą bardzo potrzebną, dla naszego życia kulturalnego wręcz niezbędną. Stopniowo przekształcają się one w zjazdy pisarskie o charakterze ogólnopolskim, zgodnie zresztą z naturalnym rozwojem naszej kultury. W zjazdach tych biorą udział pisarze ze wszystkich stron kraju, świadcząc tym samym, że jedna jest literatura i wspólne pisarskie troski i zadania.

Wraz z procesem integracji politycznej i gospodarczej dokonał się również proces integracji kulturalnej Ziem Zachodnich i Północnych. Sprawa to bezsporna, a zjazdy pisarzy są jeszcze jednym dowodem więcej, potwierdzającym tę prawdę.

Jan Koprowski

JANINA RZĄSA-ADYNOWSKA

Kruszon i polityka

Siedzieliśmy w zacisznym gabinecie i popijaliśmy „Bowle". Przed nami ekran telewizora. Na stole spora faseczka z cienkiego szkła. W musującej mieszaninie wina i wody sodowej pływają kawałki ananasa i cytryny. Po zewnętrznej stronie szkła tworzy się mglisty osad — dowód że trunek jest należycie ochłodzony.

Z „Bowle", czyli jak się można już domyślić — z kruszonem — jest w Niemczech trochę tak, jak z herbatą w Chinach. To nie tylko picie — to ceremonia. Obracając delikatnie brzuchate szklaneczki podziwiamy ładną kompozycję owoców, a po pierwszym łyku — smak i aromat napoju.

Siedzieliśmy rozleniwieni, dzieląc naszą uwagę pomiędzy ekran telewizora a smak i zapach popijanego małymi łykami kruszonu. Było ciepło, miło i sennie — „recht gemütlich" — jak się to tutaj mówi.

Ktoś przekręca gałkę telewizora. Na antenę wchodzą Niemcy zachodnie.

Polityczne audycje telewizji zachodniej komentuje telewizja NRD w specjalnych audycjach. Prowadzi je Karl Eduard von Schnitzler, znakomity publicysta, błyskotliwy komentator i wielki przyjaciel Polski. Jest to jeden z tych Niemców, którzy na zasadzie dezaprobaty opuścili Niemcy zachodnie i osiedlili się w Republice.

Na dzisiejszy wieczór dawno już zapowiedziała telewizja zachodnia audycję pana Never du Mond na temat zjednoczenia Niemiec. Pan Never du Mond był nam dobrze znaną osobą. Przygotował on niedawno program na temat Wrocławia. Ta powściągliwa — ale na warunki zachodnioniemieckie — zbyt obiektywna audycja wywołała wielkie oburzenie i protesty ze strony działających w Niemczech zachodnich odwetowców. W Hamburgu, pana du Mond musiała chronić policja przed agresywnością wściekłego tłumu, zarzucającego mu chęć zaprzedania „germańskiego" Wrocławia na rzecz „polskich psów". Po tych wypadkach zwróciła się do nas miejscowa gazeta o zabranie głosu w tej sprawie. Naturalnie, zabraliśmy głos i skomentowaliśmy ów „germański" Wrocław i owe „polskie psy".

Dzisiejszej audycji oczekiwaliśmy ze zrozumiałym napięciem, nie tylko ze względu na osobę pana du Monda. Miał w niej wziąć udział także znakomity profesor Mann oraz przedstawiciele gazety „Der Spiegel", znanej z rozpętania skandalu wokół osoby Straussa. Oprócz nich mieli zabierać głos także dziennikarze zagraniczni.

Jeszcze moment oczekiwania — i jest!

Na ekranie fragmenty muru, zasieki, wieże strażnicze. — granica między Niemiecką Republiką Demokratyczną a Niemcami zachodnimi. Wszystko to na tle niesłychanie smutnej, pogrzebowej muzyki. Granica pokazana nie na zasadzie historycznego faktu i dwu niemieckich racji stanu, a na zasadzie tragicznego rozdarcia narodu.

— Ten murek postawiliśmy sami. Za dużo kosztowały nas otwarte granice. Na przykład — w Niemczech zachodnich studia kosztują ciężkie pieniądze, a u nas są za darmo. Byli tacy, którzy przyjeżdżali do nas kończyć studia, a potem pryskali na zachód. — Zauważył dobrodusznie ktoś ze słuchaczy. — Gdy były otwarte granice, było tysiące sposobów do wyciągania nam z garnków najtłustszych kawałków mięsa!

Pan du Mond mówi niewiele. Rasowy publicysta raczej prowokuje dyskusję. W kontekście pokazywanej codziennie przez telewizję zachodnioniemiecką mapy Niemiec z granicami z 1937 roku i wobec faktu nieuznawania przez rząd kanclerza Erharda rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, na czoło dyskutowanych zagadnień wysuwają się dwie sprawy: po pierwsze — z kim należy rozmawiać tam, na wschód od Łaby oraz, jakie ziemie mają podlegać owemu „zjednoczeniu". Pomimo wysiłków pana du Mond, dyskusja idzie jak po grudzie. Fakt nieuznawania przez Niemcy zachodnie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, staje się rafą nie do przebycia. Mówi się ogólnikowo na temat konieczności dyskusji z Niemcami zamieszkałymi na terenie „Zony". Niemiecka Republika Demokratyczna — to wyrażenie nie istniejące w oficjalnym słownictwie telewizji zachodniej.

— Aha, chcą z nami łaskawie rozmawiać — rzuca ktoś zjadliwie, — tylko że zapomnieli uznać rząd, któryśmy sobie wybrali!

Sucha jak deska czterdziestolatka piorunuje go wzrokiem, po czym rzuca kilka zachwyconych uwag na temat szyku garniturów dziennikarzy zachodnioniemieckich.

— 'ne doowe is det! — To jakaś idiotka! — warczy mi prosto w ucho Monika, z pasją swoich osiemnastu lat.

— Cicho siedź, albo dyskutuj rzeczowo — odpowiadam z uśmiechem.

— Ik bin ja ooch sochlisch! — warknęła jeszcze, stwierdzając tym, że dyskutuje rzeczowo. Znałam ją dobrze i wiedziałam że musi być wściekła, skoro mówi dialektem.

Na ekranie pojawia się twarz przedstawiciela gazety „Der Spiegel". Starsza pani przypomina aferę Straussa i robi jakąś uwagę na temat „liberalizmu" w Niemczech zachodnich. Ktoś zaczyna się głośno śmiać.

— To może pani pośle tam syna na wycieczkę? — syn jest członkiem Partii i aktywistą.

— Mój syn wcale nie potrzebuje tam jechać — odpowiada mama pośpiesznie.

Towarzystwo ryknęło śmiechem. Wszyscy wiedzieli, że gdyby syn tam pojechał, oberwałby na pewno „za przynależność".

— Mamo, może ja tam jednak pojadę? Przywiozę ci kilka rolek papieru toaletowego — jest rzeczywiście ładniejszy niż nasz! — mówi syn.

Starszy pan spogląda na niego karcąco. Nie podoba mu się łobuzerskie zachowanie syna czy „zbytni radykalizm polityczny". Jeszcze trochę śmiechu i kilka łagodnych dowcipów. Starsza pani wstaje i idzie w kierunku toalety. Irytacja, czy ilość wypitej „Bowle".

Dziennikarze zagraniczni wskazywali na trudności związane z problemem zjednoczenia Niemiec. Podkreślali z naciskiem fakt, że zjednoczone Niemcy musiałyby być państwem pokojowym, nie wysuwającym żadnych roszczeń terytorialnych pod adresem żadnego narodu. Wszyscy uważali granice na Odrze i Nysie jako ostateczne.

Jako jeden z ostatnich mówił dziennikarz francuski. „Chcą się Niemcy zjednoczyć — Francja nie ma nic przeciwko temu, jeśli zjednoczone Niemcy byłyby państwem pokojowym. Naturalnie, jest mowa tylko o zjednoczeniu do Odry i Nysy. Tam, dalej jest Polska. Punkt. Kropka. Koniec. Tak powiedział de Gaulle i sprawa ta nie podlega dyskusji". Ton wypowiedzi stanowczy, pełen energii i poparty ładnym, ciepłym ukłonem w kierunku Polski.

W kontekście codziennej odwetowej polityki zachodnioniemieckiej wypowiedzi dziennikarzy zagranicznych nabierały szczególnego posmaku.

O tej audycji mówiło się wiele. Jeden z towarzyszy niemieckich powiedział wówczas, że aczkolwiek, być może, istnieją szanse na podjęcie jakiejś formy dyskusji między Niemcami zachodnimi a Republiką — na razie sprawa zjednoczenia Niemiec jest bardzo odległa.

— Zbyt duże są różnice moralne i ideowe między obu państwami niemieckimi. W obecnych warunkach nawet jakaś dyskusja — która jest bardzo potrzebna — nie będzie rzeczą łatwą. Niemcy zachodnie nie uznają nas I nie uznają nas właśnie dlatego, że podjęliśmy się trudu rozliczenia się z tym wszystkim co było hitlerowskie i pruskie: że wygrzebujemy się mozolnie ze zbrodni ostatniej wojny, w której zostało zhańbione imię naszej ojczyzny, że staramy się wychować młodzież nie obarczoną już tymi kompleksami, które tkwią jeszcze w starszym pokoleniu. Gdyby doszło do skutku takie „zjednoczenie", jakie wyobrażają sobie Niemcy zachodnie, co stałoby się z nami wszystkimi i z naszą serdeczną pracą?

I tu pomyślałam sobie, że przecież ten człowiek ma rację. Wielu z nich w myśl obowiązujących aktualnie w Republice Federalnej praw, w dniu takiego „zjednoczenia" znalazłoby się przed sądem.

Moja przyjaciółka nie mogła kilka lat temu odwiedzić w Niemczech zachodnich umierającego ojca, ponieważ jako emigrantka z Niemiec zachodnich w momencie przekroczenia granicy znalazłaby się w więzieniu. Jest ona starym członkiem partii i matką czterech synów — jako córka nawet, nie mogła podjąć takiego ryzyka. Takich ludzi w Republice jest wiele, ale za to trudno spotkać w Republice byłego SS-owca. Mój mąż, który jako lekarz przebadał kilka tysięcy pacjentów, nie spotkał nikogo z wytatuowaną pod pachą grupą krwi, ani ze śladami po dokonanej operacji kosmetycznej.

Spytałam wówczas jednego z towarzyszy co zrobiono z SS-owcami, którym nie udowodniono bezpośredniego udziału w zbrodniach, a którym nie udało się zbiec na zachód. Powiedział mi, że unieszkodliwiono ich, dopuszczając do wykonywania tylko bardzo określonych zawodów, w których nie mogą nikomu zaszkodzić. Po chwili mój rozmówca spojrzał na mnie dziwnie.

— Chcesz porozmawiać z byłym SS-owcem? Jest tu taki jeden, mieszka niedaleko Gery. Pracuje na wsi. — Wzdrygnęłam się.

— Rozumiem cię, nie miałabyś ochoty podać mu ręki. A gdyby takie „zjednoczenie" o 'jakim myśli Bonn doszło do skutku, musielibyśmy z nimi zasiadać przy jednym stole i pić piwo. I jeszcze się pytać — co słychać, kochany sąsiedzie?!

Monika jest milcząca i chmurna. Mówiła mi kiedyś, że dziadek jej siedział w obozie w Buchenwaldzie, jako podejrzany o komunizm. Nie wiedziałam co było bezpośrednią przyczyną wsadzenia dziadka do obozu. Zapytałam ją o to teraz.

— W czasie ostatniej wojny tata był w Warszawie i stamtąd napisał list, że ma zapalenie okostnej. — No, cóż, nie bardzo rzeczowo gada dziś moja Monika, bo co ma niby zapalenie okostnej u taty, do wsadzenia dziadka do Buchenwaldu. Ale mała ciągnie dalej.

— I tata napisał, że to wyjątkowo podła wojna i że będzie chętnie chorował, byleby nie brać udziału w owym „wycofywaniu się na z góry upatrzone pozycje".

Zapytałam, skąd dowiedziano się o tym liście. Mała powiedziała mi, że rodzina z dawna była „pod opieką", z racji antyfaszystowskich zapatrywań dziadka.

— Sama pani rozumie, że należymy tu, nie tam.

— No cóż, Moni, to wypijemy zdrowie, dziadka, taty i twoje!

— Moni is jutes Meechen! — Monika — to dobra dziewczyna! — powiedział ktoś i podnieśliśmy w górę szklanki.

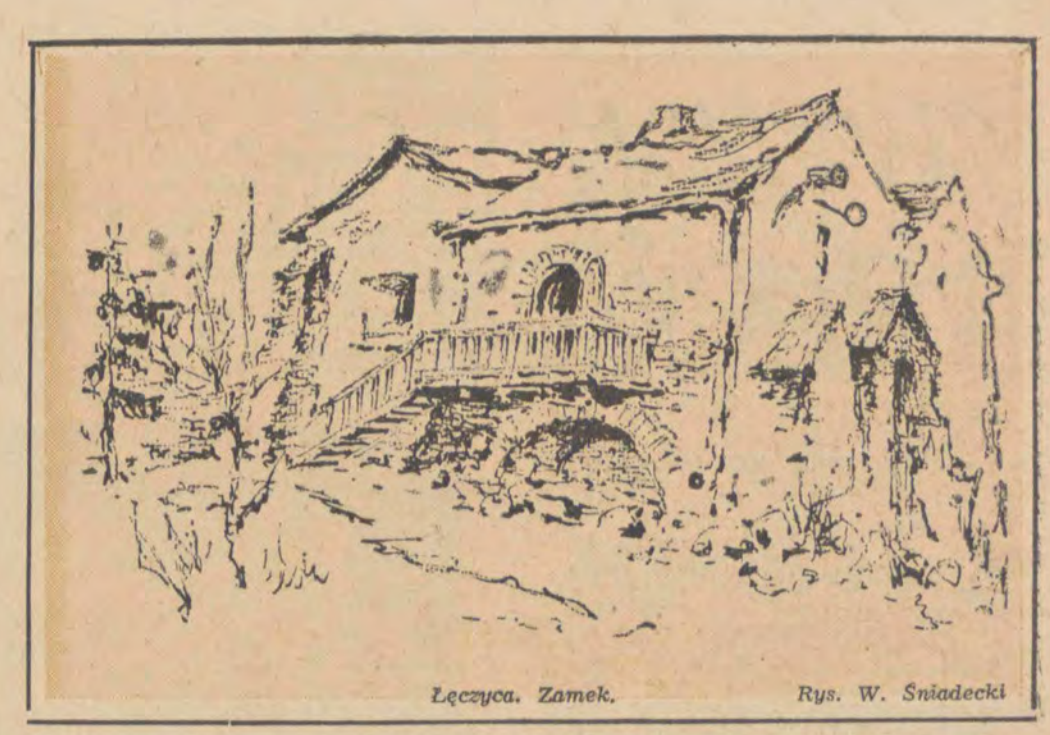

Łęczyca. Zamek. *Rys. W. Śniadecki*

DZIAŁOSZYN MA SWOJĄ KSIĘGARNIĘ

Może być kombinat przemysłowy, ale może też być kombinat kulturalny. Może się w dodatku zdarzyć, że ten pierwszy powołany do życia, powoduje powstanie tego drugiego, co w sposób dobitny świadczy o funkcji przemysłu w procesie tworzenia kultury.

W Działoszynie najpierw powstała cementownia. Wielki to był dzień dla niewielkiej osady, leżącej na krańcach naszego województwa, w powiecie pajęczańskim. Tym większy, że niósł nadzieję na inne, lepsze życie. Nadzieje spełniały się szybko. Zaludniły się krótkie uliczki, zawrzało na placykach, potem, jak grzyby po deszczu, zaczęły rosnąć domy. Niewielka osada rozrastała się na pustych, nieuprawnych polach w nowoczesne miasto. Jest już stałe kino, jest piękna restauracja, której pozazdrości niejeden kelner z powiatowego grodu. A przecież Działoszyn to jeszcze osada. Kilkutysięczna wprawdzie, głośna, ba, rzec by można — modna. Ale osada.

* * *

30 maja br. Działoszyn przeżył swój kolejny wielki dzień. Tego dnia nastąpiło uroczyste otwarcie ośrodka kulturalno-oświatowego, który powstał z inicjatywy i funduszów łódzkiego „Domu Książki". Można by tu jeszcze dodać, że powstał także z pracy społecznej pracowników wspomnianego przedsiębiorstwa, i że koszty budowy zamykają się sumą jednego miliona złotych.

Ośrodek, pierwszy tego rodzaju w Polsce, składa się z biblioteki, czytelni, księgarni (wyposażonej nie tylko w literaturę techniczną, szkolną i beletrystykę. Są tu także pokaźne zasoby płyt polskich i zagranicznych oraz reprodukcje dzieł sztuki) i klubu rolnika, gdzie można wypić dobrą kawę, popatrzeć w telewizor, pograć w szachy i podyskutować.

Nowy, jednopiętrowy budynek, w którym mieści się Ośrodek, leży w połowie drogi między starym Działoszynem a kompleksem nowo zbudowanych domów. Jest więc niejako łącznikiem obu części osady.

* * *

W tym uroczystym dniu gościł Działoszyn przedstawicieli centralnych, wojewódzkich i powiatowych instancji partyjnych, rad narodowych, organizacji młodzieżowych oraz delegata Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Uroczystego otwarcia Ośrodka kulturalno-oświatowego dokonał dyrektor Państ. Przedsiębiorstwa „Dom Książki" w Łodzi — Aleksy Terlecki.

W części artystycznej, goście oraz mieszkańcy Działoszyna obejrzeli okolicznościowe przedstawienie „Wesołego Autobusu".

Przekazanie społeczeństwu Ośrodka kulturalno-oświatowego jest dalszym osiągnięciem mieszkańców osady.

(M. W.)

ADAM DĄBROWSKI

BRZEŹNICY LOSU KOLEJE

Dobrze się musiał uwijać Długosz na polach Grunwaldu skoro w nagrodę otrzymał od Władysława Jagiełły zaszczytny tytuł starosty i zamek brzeźnicki z przyległymi dobrami. Być może odwaga rycerza poszłaby w niepamięć, gdyby syn nie władał piórem równie dobrze co ojciec mieczem.

Ojciec tworzył fragmenty historii, gromiąc Krzyżaków, syn spisał w 12 księgach dzieje Polski, od legendarnych początków do 1480 r. To wielkie dzieło dało Janowi Długoszowi przepustkę do historii jako najznakomitszemu z dziejopisów. Dziś historyczna ranga Brzeźnicy określona jest jego postacią, aczkolwiek dzieje osady są znacznie odleglejsze w czasie.

Od 1265 r. w lasach nad Pisią, 4 km na północ od koryta Warty począł wyrastać gród. Osadnicy przybywali tu chętnie. Książę Leszek Czarny zwalniał ich bowiem na lat 13 od czynszu i innych świadczeń, zezwolił na budowę łaźni publicznej, rzeźni, piekarni i dwóch młynów. Mieszkańcy Brzeźnicy otrzymali ponadto prawo korzystania z pastwisk i lasów należących do wsi Dubidze, Kruplin i Dworszowice. Miasto rozrastało się szybko. Tędy przez Brzeźnicę kierowali się kupcy i możni z Krakowa do Sieradza, Wielunia i dalej na północ do Poznania. Przy drodze krakowskiej wyrosła Brzeźnica Stara (w której urodził się w 1415 r. Jan Długosz), przy wieluńskiej — Brzeźnica Nowa.

W jednej i drugiej kwitł handel i rozwijało się rzemiosło. Rewizor bawiący w Brzeźnicy w 1564 r. zanotował 4 rzeźników, 9 piekarzy, 9 szewców i aż 6 „czo palią gorzalke".

Możemy się domyślać, iż musiała wówczas w Brzeźnicy prosperować niejedna karczma. Była również szkoła parafialna, w której uczono sztuki czytania i pisania, łaciny, historii kościoła, pieśni religijnych i geografii. W relacjach wizytacji dóbr kościelnych znajdujemy wzmianki o brzeźnickim szpitalu. Oto on: 4 izby, personel jednoosobowy w postaci dozorcy, którego zadaniem było ogrzać i uprzątnąć izby. I to wszystko co kryło się pod nazwą szpital. Chorzy żywili się z uzbieranej jałmużny.

Od XVII w., w wyniku zniszczenia kraju podczas najazdu szwedzkiego, a następnie wraz ze zmianą ośrodków życia politycznego i gospodarczego, upadało powoli znaczenie Brzeźnicy. Prawdziwy cios spadł na miasto po powstaniu styczniowym, kiedy to zlikwidowany został magistrat. Za udział w powstaniu wielu brzeźniczan powędrowało na szubienice.

Tragiczny los spotkał Brzeźnicę we wrześniu 1939 r. Hitlerowscy lotnicy zniszczyli 90 proc. zabudowań. Płomienie strawiły zabytkowy kościółek modrzewiowy, wzniesiony w XII lub XIII w. Połowę ludności wywieźli Niemcy na przymusowe roboty.

W kilka lat po wojnie Brzeźnica się dźwignęła. 60 proc. budynków w Brzeźnicy Nowej i 80 proc. w Brzeźnicy Starej zostało wzniesionych po 1945 r. Również i ten piętrowy, w którym mieści się siedziba Prezydium GRN. Do niedawna było tu gwarno od dzieciarni. W styczniu br. przenieśli się młodzi obywatele Brzeźnicy do słonecznej 1000-latki, której nadano imię Jana Długosza.

Przewodniczący i sekretarz Prezydium GRN — Jan Kowalski i Wacław Zgoda prezentują owoce społecznej inicjatywy wspieranej systematycznie przez państwo. Zaczynamy od szkoły i oglądamy kolejno przedszkole, aptekę, lecznicę weterynaryjną, rozbudowujące się magazyny GS, garaże i sprzęt kółka rolniczego, ośrodek zdrowia.

Na tle wielu nowych i okazałych budowli ośrodek zdrowia prezentuje się skromnie. Stary, wysłużony barak, sprowadzony w pierwszych latach powojennych aż gdzieś ze Szczecina. Wkrótce jednak nastąpi przeprowadzka do budynku, z którego w styczniu wyniosła się młodzież. O takiej placówce zdrowia myślał przez 38 lat swojej pracy, doktor Władysław Grzesiak. Był rok 1928, gdy po ukończeniu studiów wrócił w rodzinne strony do Brzeźnicy, i tu pozostał do dziś. 70-letni lekarz jest jeszcze w pełni sił, ogarnięty zapałem działania dla dobra ludzi.

— Ważny jest klub, cenne są maszyny, ale najwięcej zmieniliśmy w służbie zdrowia — stwierdza kierownik ośrodka.

Opowiada o początkach swej pracy, gdy był jedynym lekarzem w obrębie obecnego powiatu pajęczańskiego. Dziś w samej Brzeźnicy pracuje ich trzech. Władysław Grzesiak jest nie tylko lekarzem. Jest również znanym społecznikiem i działaczem ruchu ludowego.

Apetyty brzeźniczan rosną w miarę jedzenia. Osiągnęli już wiele, ale zamierzenia są coraz śmielsze. Ostatnio w Brzeźnicy mówi się o wodociągach, agronomówce, o potrzebie zlokalizowania jakiegokolwiek zakładu produkcyjnego, w którym znalazłoby zatrudnienie kilkudziesięciu mieszkańców.

Wodociągi na pewno będą. Natomiast budowy zakładu przemysłowego nie przewiduje się w Brzeźnicy. Sprawa zatrudnienia nie jest tu aż tak drastyczna. Sporo ludzi dojeżdża do Pajęczna, Radomska, Działoszyna, Częstochowy. Około 80 proc. mieszkańców trudni się rolnictwem. Gospodarstwa są drobne, średnio 3,5-hektarowe. Wykaz areału zasiewów dostępny w Prezydium GRN wskazuje, że dominuje tu rolnictwo żytnio-ziemniaczane, mało intratne. Są w Brzeźnicy warunki do rozwoju upraw mogących przynieść większe dochody. Pobliski Śląsk gwarantuje np. zbyt na warzywa. Ale na razie w Brzeźnicy sieje się głównie żyto i ziemniaki.

Może tych 60 uczniów, pobierających wiedzę w szkole przysposobienia rolniczego, skieruje gospodarstwa ojców na produkcję pracochłonną, ale i zyskowniejszą?

Są również szanse dla rzemiosła, 25 rzemieślników to stanowczo za mało, jak na około 2700 mieszkańców Brzeźnicy Nowej i Starej. Młodzi, znający się na naprawie radia i telewizora znaleźliby tu na pewno pracę. Brzeźnica potrzebuje ludzi młodych i energicznych. Jej ranga i awans spoczywa w rękach samych mieszkańców.

Skrzydlaty dorożkarz

Dalszy ciąg ze str. 1

polskich linii komunikacyjnych przewiozły 309 tysięcy pasażerów, z tego w ruchu krajowym 184 tys. Rok 1965 też był dobrym rokiem dla naszej komunikacji mimo, że znaczonym tragiczną katastrofą załogi „LOT" na polach Belgii. Tylko w pierwszym kwartale przewieziono 54 tysiące pasażerów, z czego ponad 22 tys. na liniach zagranicznych. W porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego liczba pasażerów wzrosła ogółem o 17 tys. osób, z czego tylko w samym ruchu zagranicznym o 6,5 tysiąca.

Polskie samoloty pasażerskie docierały do Amsterdamu, Aten, Belgradu, Berlina, Brukseli, Budapesztu, Bukaresztu, Kopenhagi, Londynu, Moskwy, Paryża, Pragi, Rzymu, Sofii, Sztokholmu, Wiednia, Zurichu, Kairu, Frankfurtu n/Menem a ostatnio również do Helsinek. Sieć komunikacji krajowej uzupełni połączenie Warszawy z Koszalinem, a na liniach zagranicznych otwarte zostaną nowe połączenia do Algieru, a także na środkowy Wschód do Carachi i Bombaju.

Nie chwalmy się jednak. W porównaniu z innymi jesteśmy daleko w tyle.

Nie potrzebujemy tutaj sięgać do takich potęg jak BOAS, Air France czy Sabena. Nawet nasi sąsiedzi — Czechosłowacy wyprzedzają nas zdecydowanie i tak np. w roku 1963 przewieźli oni w ruchu międzynarodowym ponad 169 tys. pasażerów, dysponując rozgałęzioną siecią zagranicznych połączeń i najnowocześniejszymi samolotami „Ił-18", „TU-104" i „TU-124". Podobnie jest z radzieckim Aerofłotem, który w tymże samym roku przewiózł w ruchu międzynarodowym ponad 180 tys. pasażerów. Tak więc nasz „LOT" jest mimo wszystko liliputem wśród podniebnych Ikarów i musi jeszcze zrobić wiele wysiłków dla odrobienia dystansu nowoczesności i opłacalności „latania" w stosunku do swoich zagranicznych konkurentów.

LOT należy do najbezpieczniejszych linii pasażerskich. Na przestrzeni 21 lat odnotowano 4 katastrofy, które pociągnęły za sobą straty w ludziach. Najgroźniejsza była katastrofa samolotu typu Viscount, która wydarzyła się w roku 1963 na moment przed lądowaniem na Okęciu. Statystyki stwierdzają jednak, że ten kto siada do SAMOCHODU ma 6-krotnie większą szansę ulec wypadkowi aniżeli pasażer SAMOLOTU...

* * *

Szklane akwarium. Na wszystkie strony doskonała widoczność, świetlne ekrany, radar bezszelestnie omiata przestrzeń, rubin świateł wyznacza drogi — runway lądowiska. Mapy — nie-mapy z makiecikami samolotów: OKĘCIE — KONTROLA. Samolot w powietrzu łączą z ziemią niewidzialne, ale mocne nici. W każdej chwili można określić jego położenie, na którejś z powietrznych ścieżek. W pobliżu — METO. Tuż przed lotem kapitan statku otrzymuje najświeższy komunikat „meteo" i na jego podstawie określa najwłaściwszą wysokość lotu, taką, na jakiej wystąpią najmniejsze rzucania. Samoloty Ił-18 wyposażone są we własną aparaturę radiolokacyjną do wykrywania chmur na odległość 200 km przed samolotem. Dzięki temu można uchronić samolot przed frontem burzowym, chociaż Ił-y i Viscounty nie bardzo się tego boją. Mają dużą szybkość i latają na granicy stratosfery: 8—10 tys. metrów — tłumaczą mi cierpliwie.

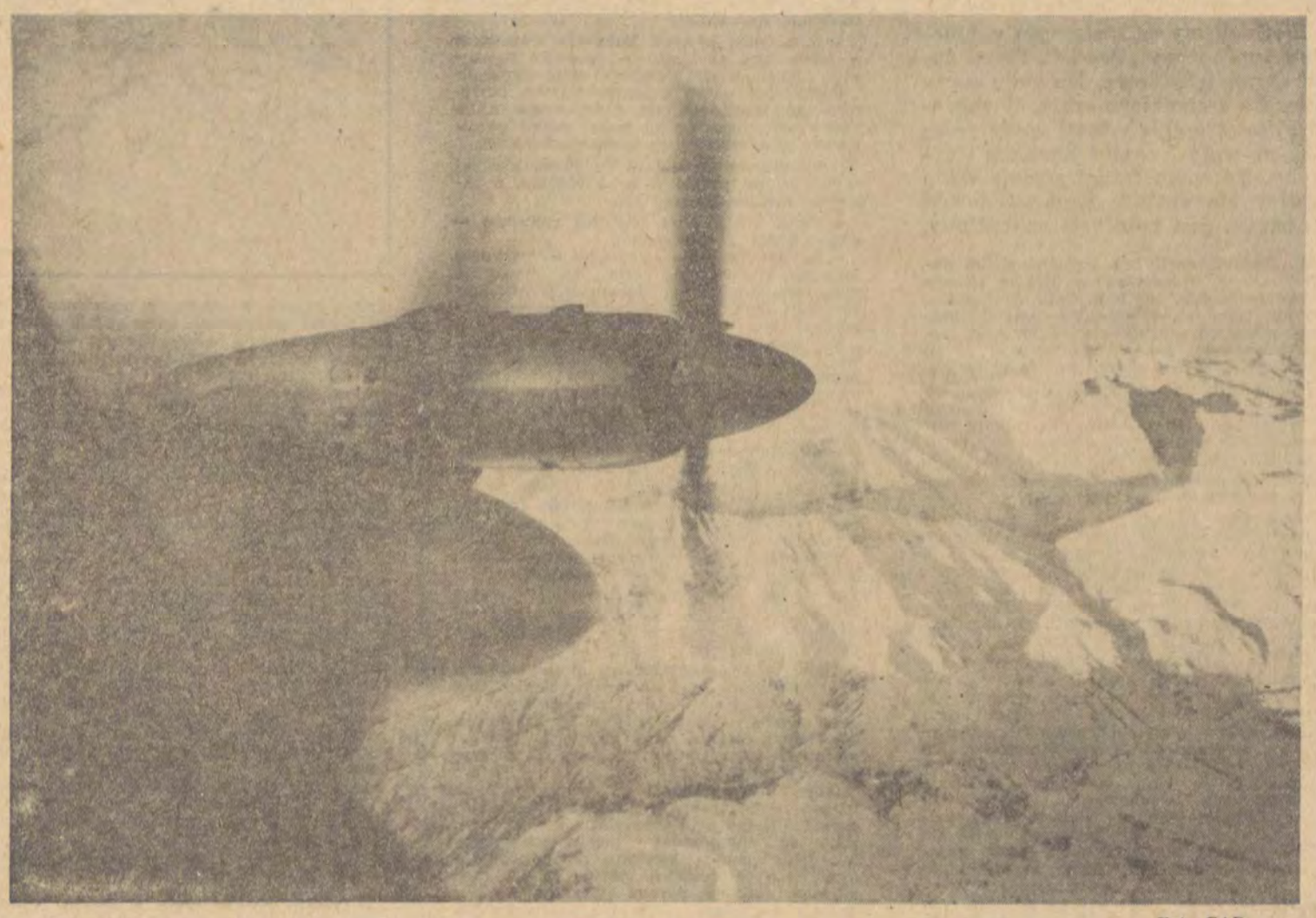

Fot. CAF

Światełka mrugają niecierpliwie.

— Uwaga SABENA, Uwaga SABENA, możesz...

Jeszcze jedno naprowadzenie na betonową ścieżkę. Nerwy napięte, oczy wbite w przyrządy, krótkie polecenia nagrywane na taśmę dla sprawdzenia — później „gdyby co" — ileś tam ton duraluminium i kilkilkudziesięciu ludzi. Tak jest średnio co godzinę...

Podnoszę kciuk do góry. Good luck — kapitanie!

ŻABY, ŚLIMAKI... I DYREKTORZY

Zapotrzebowanie na krajową i zagraniczną komunikację lotniczą stale rośnie. Wiąże się to nie tylko z rozwojem ruchu turystycznego, że przytoczymy tutaj jako przykład niedzielne połączenie Wiedeń — Kraków i z powrotem dla turystów austriackich, ale także z potrzebami gospodarczymi. Eksport truskawek, żab, raków, ślimaków, a także rysujące się nowe możliwości sprzedaży w innych krajach kwiatów i polskich pieczarek wymagają właśnie szybkiego, podniebnego transportu. Czas liczy się również na krajowych trasach i stąd też dwóch dyrektorów tak wielkich obiektów jak Zagłębie Miedziowe w Lubiniu oraz Zespołu Kopalń Węgla Brunatnego w Turoszowie dysponuje własnymi awionetkami, które szybko „łączą" ich z Warszawą.

Niestety, ten rozwój napotyka szereg trudności, przy czym najsłabszą stroną nie jest w tym przypadku sprzęt latający, ale wyposażenie lotnisk komunikacyjnych. Właściwie poza Warszawą, tylko Poznań i Wrocław, mogą przyjmować samoloty średniego zasięgu, a więc Iły-18 czy Caravelle. Kraków posiada, jak wiadomo, na razie lotnisko tymczasowe, Gdańsk — za małe, a Szczecin i Rzeszów, dysponują na swoich aerodromach wyłącznie trawiastymi pasami startowymi. Stąd też postulat rozbudowy i unowocześnienia: niestety jest to bardzo drogi interes.

Ale konieczny. Robi się też w tej dziedzinie sporo. Po Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Częstochowie, Białymstoku — nowe stacje krótkofalowe dla celów lotnictwa pasażerskiego otrzyma Koszalin oraz Olsztyn, ulega modernizacji kontrola lotów w rejonie Warszawy, Okęcie otrzymuje nowy radar, dochodzi do sprowadzenia samolotów — oczywiście „na ziemię" przy złej widoczności... Chodzi jednak głównie o —

NOWE SKRZYDŁA

Kosztem 1.200 mln zł poczynione będą w roku 1966 nowe inwestycje, a przede wszystkim poprawa nastąpi w dziedzinie sprzętu latającego. Tak więc wprowadzimy na linie krajowe nowe samoloty typu An-24, a poza tym na naszych trasach będą latały maszyny Ił-18, Viscount 804, Ił-14, Li-2 i An-24. Jako ciekawostkę warto także podać, że od roku 1968 Polskie Linie Lotnicze „LOT" zamierzają wprowadzić na swoje trasy samoloty odrzutowe średniego i dalekiego zasięgu — TU-134 oraz Ił-62. Tak przynajmniej zapowiedziano nam na konferencji prasowej. Więc —

Szkolą się nowe stewardessy. Do tej ciężkiej pracy w powietrzu. Nim ubiorą błękitne mundury przejdą kilkumiesięczny kurs obejmujący przeszło 20 przedmiotów wykładowych. Muszą mieć wyższe wykształcenie, świetną prezencję, wiek od 22 do 26 lat, znajomość przynajmniej 2 języków obcych, muszą umieć obsługiwać aparaturę radiowo-nadawczą i być „lekarzem" w razie potrzeby...

Dla Ciebie. By świat i jego drogi mogły się „skurczyć" do wymiarów godnych XX wieku, jego pośpiechu.

— Śniadanie w Warszawie, obiad w Paryżu, kolacja — znowu w Warszawie. Za godzinę odlot...

Wszystko przewidziane. Jak kurs dorożki.

— Spokojnego nieba — kapitanie!

KRZYSZTOF POGORZELEC

ZOFIA LIBISZOWSKA

Moje wędrówki po Budapeszcie

Vacci utca, renomowana ulica eleganckich sklepów, wolno nie śpiesząc się, płynie nią ludzka rzeka. Witryny ciągną elegancją, barwą, pomysłowo ustawionymi eksponatami. Trzeba wszystko zobaczyć, zanim podejmie się decyzję. A ceny tu wysokie. Salony mody damskiej lansują ostatnie modelowe kreacje, obok bluzki i pulowerki z importowanej wełny. Dalej porcelana, kryształy, biżuteria, znane ze swej elegancji wyroby obuwnicze i skórzane.

Spotyka się tutaj jeszcze co krok sklepy prywatne prezentujące wytwory rękodzieła, wyroby artystyczne i różnego rodzaju „upominki". Ruch kołowy zakazany, można więc spokojnie wędrować z jednej strony na drugą, i wymijać przechodniów środkiem jezdni. Opodal huczy łoskotem i życiem wielkomiejskim centralna arteria im. Rakoczego (Rakocci ut). W wielkich magazynach ciągnących się wzdłuż tej alei zaopatrują się masowo po cenach popularnych mieszkańcy Budapesztu i liczni turyści. Ale zanim dokona się zakupu w centralnych domach towarowych, trzeba przynajmniej zobaczyć co modne, co w dobrym tonie, o ile kieszeń nie pozwala na sprawunek z Vacci ut. Wśród przechodniów pochłaniających wzrokiem sklepowe wystawy nierzadko słychać polską mowę, może nawet zbyt często. Podziwiałam, ile troski wykazują nasi rodacy, by upłynnić posiadane forinty jak kalkulują, liczą, wykrzykują głośno swe spostrzeżenia, zapominając, że roi się tu od polskich przybyszy. Ale na Vacci ut ciągną mnie nie tylko sklepy. Tutaj w popijarskim gmachu ulokował się wydział humanistyczny Uniwersytetu Budapeszteńskiego. Dawne Collegium zbudowane z początkiem XIX wieku z trudnością mieści liczne katedry i zakłady. Sale audytoryjne wydają mi się nieco ciasne, za mało tu światła i powietrza. Ale tuż obok zieleńce i nadbrzeża Dunaju — ulubione miejsce spacerów i spotkań studentów. Staroświecka winda i równie stary jak ona portier wywozi mnie na trzecie piętro, gdzie mieści się katedra historii powszechnej od VI do XVIII w. Gabinet skromny, poważny. Z okien fascynująca panorama: tuż pod nami przepysznym, lekkim łukiem zarysowuje się wiszący most, im. cesarzowej Elżbiety, cacko techniki, połączonej z najwyższym estetycznym osiągnięciem. Potężna szaroniebieska rzeka szeroką wstęgą dzieli nas od ścielącego się po drugiej stronie siostrzanego miasta Budy. Na dalszym planie wzgórze Gelerta i smukły, strzelający w niebo pomnik zwycięstwa. Wszystko skąpane w słońcu i świeżej, wiosennej zieleni, wśród niej obsypane kwieciem drzewa migdałowe i magnoliowe. Ogarnia mnie zachwyt i radość.

Właśnie z wykładu powraca docent Eva Balázs-Hunyady, rozpoczyna godziny konsultacji. Studenci lat starszych omawiają z nią przyszłe prace, referaty, ustalają bibliografię. Pokazuje mi spis lektur wymaganych do egzaminu z historii powszechnej. Nie zdążyłam policzyć, ale na oko ponad 40 książkowych pozycji. Druga taka porcja, a może i większa z historii Węgier. Po drugim roku studenci zdają dwa decydujące egzaminy, obejmujące kurs dwuletnich wykładów do końca XVIII w. Stosunek młodzieży do egzaminów niezwykle poważny. Nie ma zwyczaju oszukiwać czy pobujać profesora. Na wykładach frekwencja bardzo duża. Wysoki poziom studentów zapewnia już rekrutacja na I rok studiów. Historia cieszy się niezwykłym powodzeniem, 10—14 kandydatów na 1 miejsce. (Na Węgrzech nie odczuwa się notabene żadnego wyżu demograficznego, przeciwnie, jest to kraj o bodaj najniższym w Europie i na świecie przyroście ludności). Historia jest więc popularnym i lubianym przedmiotem, pomimo, że perspektywy zatrudnienia przyszłych magistrów bynajmniej nie są błyskotliwe.

Zwróciłam uwagę na leżący na biurku stos teczek. Są to prace konkursowe, nadesłane przez młodzież maturalną w ramach ogłoszonego przez Uniwersytet Budapeszteński ogólnokrajowego konkursu historycznego na temat „Z życia kulturalnego mego miasta". Wpłynęło setki prac, nieraz wykonanych pięknie, pomysłowo. Pierwsze nagrody to wstęp na uczelnię bez egzaminu wstępnego, oczywiście pod warunkiem, że ustna rozmowa z kandydatem potwierdzi samodzielność wykonanej przez niego pracy. Pomysł takiej Olimpiady Historycznej wydaje się godny naśladowania. Ale ciężka to praca dla jurorów. Ci sami bowiem ludzie prowadzą całą pracę dydaktyczną na wydziale oraz twórcze badania naukowe. Obecnie właśnie zespół najlepszych specjalistów przygotowuje do druku kilkutomową historię Węgier.

I oto wchodzi do pokoju prof. Josef Pereni, znawca historii Polski i Europy wschodniej (napisał w języku węgierskim historię Polski), rozmowa schodzi na stosunki polsko-węgierskie w XVIII w. Wspominam naszych przodków, którzy przestrzegali sformułowanej w Polsce dewizy: „Nullum vinum nisi hungaricum". Ale okazuje się, że nie tylko struga tego życiodajnego i pobudzającego fantazję trunku użyźniała przyjaźń między obu narodami. Węgrzy chętnie chłonęli wzory naszej samodzielnej jeszcze twórczej kultury politycznej w okresie Stanisławowskim. Tak np. Ruch wolnomularski zainicjowali na terenie Węgier polscy przybysze, osiedli w Preszburgu w czasie konfederacji barskiej. Jakże żywo reagowali Węgrzy na wieści z Sejmu Czteroletniego, myśleli serio o współpracy z polskimi patriotami. Nad Balatonem miał miejsce bliżej nam nieznany w skutkach zjazd węgierskich przywódców narodowego ruchu z polską delegacją sejmową. Korresponduje z nimi także Piattoli, powiernik Ignacego Potockiego, namawiając do dywersyjnej w stosunku do Habsburgów akcji. Plany i prace nad konstytucją w Polsce pobudzają węgierskich ideologów, którzy podobne swobody chcieli uzyskać w ramach Habsburskiego imperium.

Upadek Sejmu Czteroletniego skwitowano tu z żalem i oburzeniem, i ten fakt wpłynął chyba również na wystąpienia węgierskich jakobinów nieufnych reformie i magnackim przywódcom a odwołujących się do haseł rewolucji francuskiej.

I znów od dalekiej historii wracamy do dnia dzisiejszego. Przechodzimy do gabinetu dziekana, i kierownika Katedry, znanego medievisty prof. Szekely. Tutaj przy kawie i sławetnym węgierskim koniaku rozmowa płynie wartko. Prof. Szekely zna doskonale Polskę, bywa u nas często na zjazdach archeologów i historyków, wśród których ma wielu przyjaciół.

Interesuje mnie organizacja życia uniwersyteckiego i warunki pracy naukowej. Oglądamy dość ciasny lokal biblioteki wydziału historycznego, mieszczący się w tym samym gmachu, stanowiący dla studentów podstawową zbiornicę. Pracownicy naukowi korzystają z niej niewiele. Kilkadziesiąt kroków dalej znajduje się bowiem gmach Biblioteki Uniwersyteckiej. Zbudowany z tym przeznaczeniem w XIX w. budynek nie może już pomieścić rozrastających się z każdym rokiem zbiorów, czytelnie zabezpieczyć miejsca coraz liczniejszym odwiedzinom. Zwiedzam kolejno wszystkie działy i magazyny, gdzie lekkie metalowe regały wydają się stłoczone ponad miarę. W czytelni głównej warunki pracy bardzo dobre: każdy czytelnik przy osobnym pulpicie korzysta z maksimum możliwej wygody i spokoju. Czytelnia czasopism niepokojąco mała i słabo uczęszczana. Nic dziwnego, przedstawia bowiem ubogi zestaw pism. Podobno zagraniczne periodyki dostarczane są bezpośrednio zainteresowanym zakładom i w sali ogólnej nie są udostępniane. Za to czytelnia naukowa wzbudza zazdrość przybysza z Łodzi, który z żalem uświadamia sobie, że w bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego zapomniano o takim pomieszczeniu.

Architektura i wystrój budynku, neo-baroku i dziewiętnastowiecznego mieszczańskiego bogactwa nadają dostojeństwa salom, korytarzom i olbrzymim hallom. Sklepienia i alegoryczne freski u sufitu, przypominają wchodzącemu, że znalazł się

Fotografia z Colmar

Dalszy ciąg ze str. 1

pany. Anglik opluwany. Anglik torturowany ze wschodnim wyrafinowaniem. Anglik, któremu obcięto powieki i przywiazano do pala na ziemi. Tak przywiązano, że Anglik ma twarz zwrócona pod palace promienie słońca. Słońce powoli wypala oczy. Potem sięga dalej, w głąb mózgu... Anglik umiera po kilku godzinach, czasem po kilkunastu, niekiedy po dwóch dniach. I zachowuje świadomość niemal do ostatniej chwili. W centrum Londynu po dziś dzień, na zasadzie non-stop, czynna jest wystawa o japońskim bestialstwie, o zwierzecych torturach, w których Japończycy sa mistrzami. Ogladałem te wystawe dwa lata temu. Jest czymś wyjatkowo wstrzasajacym.

Spośród wielu dokumentów Brytyjczycy wybrali jeden, ich zdaniem najmniej shocking.

Jest to fotografia, którą znaleziono przy poległym oficerze japońskim. W ogóle zastanawiajaca jest predylekcja do robienia zdjęć właśnie wśród Niemców i Japończyków. To hobby łaczy te dwa narody. I nie tylko. Nazajutrz po wojnie zdjecie powiekszono do rozmiarów filmowego plakatu i powielone w masowym nakładzie, rozwieszono je na murach wszystkich miast. Na polanie w dżungli przykucnał angielski lotnik. Widać na nim szczatki munduru. Lotnik ma zwiazane do tyłu rece. Ma zakrwawione czoło. Ma wpadniete oczy, w których czai się taki wyraz cierpienia, że mrowie przechodzi. Zdjecie musiało być doskonałe. Przy lotniku mały japoński oficer w wielkich okularach. Japończyk trzyma wzniesiony do góry miecz. Japończyk bierze potężny zamach. Za pół sekundy miecz przetnie szyje lotnika. Z tyłu, w dużym półkolu, stoi grupa japońskich żołnierzy. Twarze żołnierzy rozpływaja sie w radosnym uśmiechu. Wszyscy się śmieją, wszyscy chichoczą. I ten lotnik...

Pod zdjeciem umieszczono jedno tylko słowo: Remember. — Zapamiętaj.

I nic wiecej.

Anglicy zapamietali. Każdy ma swoje własne obserwacje. Osobiście uważam, że jeśli Anglicy jakiś naród nienawidza nienawiścia spontaniczna, żywiołowa, to tym narodem sa Japończycy. Wrócę jeszcze do tego innego zdjecia. Z Colmar. To ono naprowadziło mnie na ślad, którym podażyłem. Bo w gruncie rzeczy to żaden przypadek, że właśnie Francuzi uznaja nasze granice na Odrze i Nysie bez żadnych zastrzeżeń. Francuzi poznali Niemców z autopsji. Poznali ich na przestrzeni dziejów. Ich decyzja jest w pewnej mierze konsekwencja historii. Jest też skutkiem ideowej zależności Hitlera od swych poprzedników.

Francuzi ocenili zjawisko któremu na imię „Hitler" na szerokim tle historycznym.

Hitler nie stworzył niczego oryginalnego. Nie rozwinał żadnej, autentycznie własnej myśli. Był kompilatorem starych pomysłów, cudzych planów, kontynuatorem ubiegłowiecznej pangermańskiej konspiracji. Hitler był plagiatorem. Gdyby napisano książkę o genezie „Mein Kampf", to by wyszło na jaw, że to wszystko co Hitler wepchnał w swe sławetne dzieło, napisali dawno przed nim niemieccy filozofowie, mężowie stanu. No i oczywiście historycy, którzy w dziejach Niemiec odegrali tak samo złowroga role jak wykładowcy w małomiasteczkowych gimnazjach. Czy to nie daje do myślenia, że już podczas pierwszej wojny światowej na wezwanie profesora historii na front zgłaszały sie dobrowolnie całe klasy niemieckich gimnazjalistów?

Już w 1887 roku von Treischke napisał takie zdanie:

— Nowa doktryna polityczna, w swej istocie nacjonalistyczna narodziła się w Niemczech w momencie gdy Herder nauczył nas, że nie każdy naród na tej ziemi ma prawo do równego szczęścia...

Albo Joseph Goerres profesor uniwersytetu w Monachium, który dowodził:

— Największym szaleństwem jakie może popełnić jakiś naród, jest utrata swego biologicznego charakteru...

To jedno zdanie niejaki Alfred Rosenberg rozpisał potem na kilkaset stron drugiej hitlerowskiej biblii, która wyszła pt. „Mythus des XX Jahrhunderts". Krew jest najwiekszym dobrem, meine Herren, zachowajmy czysta niemiecka krew, a z łatwościa podbijemy wszystkie te przeklęte narody biologicznych bastardów. Naród rasowo czysty jest nie do pokonania. Taki naród chociażby go nie wiem jak stłamsić i tak wypłynie... Albo niejaki Reimer, który już w 1956 roku radził aby niemieccy chłopi co rychlej zajeli ziemie podbite na Wschodzie i na Zachodzie. Miał nawet gotowy plan. Oto on:

— ludność autochtoniczną należy wysiedlić z tych ziem i skierować do pracy w niemieckim przemyśle.

— Część tej ludności można przenieść na tereny, które z różnych wzgledów nie nadaja sie do „niemieckiego zasiedlenia".

Najbardziej zdumiewa, że nawet podział samych obywateli niemieckich na różne szczeble wtajemniczenia też nie jest pomysłem Hitlera. Reichsdeutsche i volksdeutsche różnej maści. Pamietamy, prawda? Otóż na poczatku tego wieku, pod wysokimi auspicjami samego Wilhelma II, wydano w Niemczech broszure uznana jako ewangelium pangermanistów. Domagano sie w niej prawnego podziału mieszkańców ówczesnych Niemiec na kilka grup. Do pierwszej mieli być zaliczeni wyłącznie Germanie o jasnych oczach i blond-włosach. Do drugiej Niemcy pół krwi, którzy nie mieliby jednak prawa wchodzić w zwiazki małżeńskie z przedstawicielami pierwszej grupy. Trzecią grupę mieli stanowić jak to naukowo określono „brachycephales". Więc narodowości podbite. Te narodowości bez żadnego wyjatku miały być skierowane do najcieższych robót z myśla o ich całkowitej eksterminacji. Niemcy od dawna byli owładnieci mania wielkości i żadza władzy. Supernacjonalista był sam kaizer Wilhelm II. To on zawołał podczas uroczystości spuszczenia na wodę jeszcze jednego niemieckiego pancernika, że „sola tej ziemi sa Niemcy". Wilhelm II niczym tak się nie naraził Anglikom jak tym pełnym pychy zawołaniem. Anglicy mu tego nie zapomnieli.

Mógłbym tak długo.

To jest właśnie ten inny aspekt hitleryzmu.

Aspekt historyczny. Co ciekawe, nieźle znany na Zachodzie. Może nawet lepiej tam znany niż u nas. Przecież już w 1942 roku sam Robert Murphy opierajac sie na raporcie doradców Departamentu Stanu USA, oświadczył, że wszystkie koncepcje na których spoczywa hitleryzm, zostały zdefiniowane w XVIII względnie XIX wieku. Naziści nie stworzyli nowej ideologii. Bardziej tylko skrystalizowali stare doktryny nadając im pozory świeżości. Ale i tak hitleryzm już z daleka pachniał średniowieczem. Jedynym wkładem Hitlera, wkładem niezaprzeczalnym, była metoda. Cechował ją absolutny brak skrupułów.

Wiedzą o tym również Francuzi.

Wydaje nam się czasem, że Niemcom głównie chodziło w ostatniej wojnie o skolonizowanie Wschodu.

Głównie o to im chodziło. Ale nie wyłacznie. Hitler postawił sobie jeszcze inny, dalekosiężny cel. Przydusić Francję do ziemi. Ujarzmić. Wyeliminować Francję raz na zawsze z wszelkiego wpływu na Europę. Plan gry ustalono w Berlinie. Jest dzisiaj dostatecznie znany. Po pierwsze — od Francji miała być odłączona Bretania. Bretończykom chciano we Francji wyznaczyć podobną rolę jak u nas Góralom, którym wmawiano, że są „Gorallenvolk". Alzacja i Lotaryngia miały być wcielone do Niemiec. Po trzecie — cały wschód i północ Francji ze wszystkimi portami miały zostać skolonizowane przez niemieckich chłopów. W Bretonii zaczął już nawet wychodzić tygodnik „L'heure Breton" w którym dowodzono, że Bretończycy Francuzami nie są i nigdy nimi nie byli. Twierdzono też z wysokości profesorskich katedr, że francuska Flandria, więc Dunkierka, Arras, Lille to ziemie flamandzkie, więc germańskie. Odgrzebano pangermański projekt z końca ubiegłego wieku, domagający się przekształcenia tej części Francji w państewko o tajemniczo brzmiącej nazwie Thiois.

Na słowach i planach wcale się nie skończyło.

Volksdeutschów, którzy ciągnęli wozami z Besarabii, Wołynia, krajów nadbałtyckich. Bóg wie skąd, osiedlano nie tylko na ziemiach polskich. Osiedlano ich również w Alzacji i Lotaryngii. Tamtejszy hitlerowski gauleiter Burckel utworzył w Alzacji centralny komitet osiedleńczy pod nazwą — „Deutsche-Umsiedlungs-Treuhand-Gesellschaft". Burckel głosił wszem i wobec, że w samej tylko Lotaryngii zamieszka 635 tysięcy Niemców. To miało być tylko preludium do akcji na wielką skalę. Niemcy musieli przecież o coś walczyć. Więc po cichu szeptano tępym bauerom z posępnej Meklemburgii, że walczą o francuskie winnice dla swych dzieci. Z dawnej Francji miało być utworzone kadłubowe państewko w rodzaju naszej „Generalnej Guberni". Ta nowa Francja w swych „etnograficznych granicach" miała liczyć circa 20 milionów ludności.

Hitlerowcy okazywali pogardę nie tylko Polakom. Okazywali ją też Francuzom.

6 czerwca „Schwarze Korps" — organ hitlerowskiej Czarnej Gwardii pisał:

— Naród, który zbudował katedry w północnej Francji już nie istnieje. Natura zemściła się. Ten naród został zgubiony przez lenistwo, egoizm, niechęć do posiadania dzieci. Dzisiejsza Francja to kraj całkowicie zdegenerowany. To kraj w którym panoszą się Żydzi, Węgrzy i szumowiny z całej Europy, które w tej Francji otrzymały obywatelstwo...

We Francji o tym wszystkim się pamięta. Wystarczy przejrzeć francuskie gazety, by się o tym przekonać.

Nie dziwmy się więc, że największe zrozumienie nasza racja stanu znajduje u Francuzów. Oni tam dobrze wiedzą jaki los gotowali im hitlerowcy. Wpierw Polska potem Francja. Hitlerowcy rozprawiliby się z francuskimi chłopami metodą wypróbowaną na Zamojszczyźnie. To Polska była owym krwawym platzdarmem na którym szkolono przyszłych katów dla całej Europy. O tym Francuzi wiedzą. Pamiętają, że samo noszenie beretu było traktowane w Alzacji jako akt wrogi wobec III Rzeszy. Za beret na głowie szło się do więzienia. Stamtąd często do obozu koncentracyjnego.

Francuzi znają hitleryzm z własnego doświadczenia.

Anglosasi nie znają. Anglosasom wszystko jedno, byle oni Anglosasi byli na wierzchu. Mało tego. Anglosasi żywią szacunek do — Niemców. I wcale tego nie ukrywają. Amerykanie zaczęli po wojnie inwestować przede wszystkim w Niemcy zachodnie. Uważali, że jest to jedyny kraj na starym kontynencie w który inwestować warto. Czasem słyszy się takie bzdury o rzekomych wpływach Polonii amerykańskiej, że słuchać trudno. Słuchajcie, słuchajcie 3 milionów Amerykanów polskiego pochodzenia. To jak w tej anegdotce o księdzu proboszczu, który wykrzyknął z ambony podczas niedzielnej mszy — Zaprawdę powiadam wam, że ten bezbożnik nawrócił się na łożu śmierci... Ale ksiądz proboszcz zapomniał dodać, że w tym samym dniu umarło 30 innych bezbożników, którzy się nie nawrócili. Jakoś wolimy o tym nie wiedzieć, że w Stanach Zjednoczonych żyje 35—45 milionów Amerykanów niemieckiego pochodzenia. Nie chcemy o tym wiedzieć, że Niemcy są tam niesłychanie wpływowa grupą. Że dziadek Eisenhovera (Eisenhauera) był kowalem w Wirtembergii. Że co drugi wyższy oficer w dzisiejszej armii amerykańskiej jest z pochodzenia Niemcem.

Zapominamy, że w Ameryce liczy się pieniądz.

Polacy pieniędzy w Ameryce nie zrobili.

Najpotężniejsze gałęzie ciężkiego przemysłu są w Ameryce w 20—30 procentach opanowane przez przemysłowców pochodzenia niemieckiego. Może się to komu podobać lub nie. Nic mnie to nie obchodzi. Polacy są w Stanach robotnikami. Niemcy są często fabrykantami. To jest ta drobna różnica. Także różnica we wpływach. Wszyscy wiemy dlaczego. Ale to w niczym faktu nie zmieni. Był taki okres w dziejach Stanów, jakieś 60 lat temu, że na wyższych uczelniach wykładano tam również po niemiecku. Był taki okres w dziejach Stanów, że niemiecki był drugim językiem narodowym. Stąd właśnie owa niechęć, kunktatorstwo, niepojęte dla nas zwlekanie Ameryki z wypowiedzeniem Niemcom wojny. To zwlekanie było widoczne już podczas pierwszej wojny światowej. Powtórzyło się potem podczas drugiej wojny. Amerykanie wypowiedzieli Hitlerowi wojnę dopiero w kilka dni po napaści Japończyków na Pearl-Harbour. A jeśliby tej napaści nie było?

Co innego więc Anglosasi, a co innego Francuzi.

Francuzi poczuli czym pachnie pruski but. Stąd wrogość de Gaulle'a wobec wszelkich terytorialnych roszczeń Erharda. Klucza do zrozumienia stosunku Francuzów do Niemiec należy szukać w historii. Francuzi nie chcą integracji politycznej zachodniej Europy, gdyż obawiają się, że w takiej Europie górę wezmą stare niemieckie ciągoty do dominacji nad innymi narodami. Te ciągoty są realną groźbą. Potencjał przemysłowy Niemiec zachodnich jest bez porównania wyższy niż Francji, czy też nawet Anglii. Niemcy zachodnie mają już za sobą falę wielkiego, powojennego żarcia. Mają za sobą fale mieszkaniową i turystyczną. Unoszą się dziś na — futrzano-biżuteryjnej fali. Kupują futra i drogie kamienie. Tezauryzują marki. Ponoć największym dla nich problemem jest dzisiaj znalezienie wolnego miejsca na parkingu. Niemcy zachodnie mają więc wiele fal za sobą. Nie mają jednak za sobą fali, być może dla nich najważniejszej — której na imię zapomnienie.

Jak na złość nikt nie chce zapomnieć.

Zdjęcie z Colmar zrobiło na mnie niezatarte wrażenie. Wiele bym dał za zdjęcie z placu Wolności.

Może bym na nim ujrzał siebie samego?

JAN BĄBIŃSKI

---

w przybytku wiedzy. Nie znalazłeś poszukiwanego dzieła w Bibliotece Uniwersyteckiej, udać sie możesz do słynnej Biblioteki Narodowej imienia jej założyciela Ferenca Szecheny'ego. Mieści się ona w skrzydle Muzeum Narodowego, zgodnie z życzeniem jej fundatora, wielkiego magnata i społecznika, gromadzi ona wszystkie druki dotyczace Węgier, wydane nie tylko w kraju, ale i na całym świecie. Biblioteka zawiera 1,6 mln tomów. Jest to również najwieksza zbiornica czasopism, (172.000 roczników), także starodruków (1.900.000), rękopisów (362.000) oraz zbiorów specjalnych. Poza tym jest to wspaniała placówka naukowa, w której otrzymać można wszelkie bibliograficzne informacje. Prowadzone sa tu szeroko prace naukowe i kwerendy, przygotowywane periodycznie biuletyny o nowych nabytkach, (rocznie przeciętnie 100 tysięcy tytułów), czasopismach i ich zawartości, wreszcie prowadzony centralny w skali krajowej katalog starodruków.

Zakochana w swej pracy urocza dr Eva Windisch, długoletni pracownik naukowy biblioteki oprowadza mnie od działu do działu. Umiejetnie stopniuje wrażenia. Na przód skrzynie katalogowe, niezliczone szufladki, ułożone w czterech różnych systemach: alfabetyczny, rzeczowy, geograficzny i podług redaktorów. Szukamy oczywiście polskich nazwisk i odsyłaczy. Nietrudno w tym systemie je odszukać. Potem zwiedzamy pracownie, magazyny, i wreszcie otwieraja sie drzwi do najwiekszych skarbów, zamkniętych w oszklonych gablotkach i osłonietych przed blaskiem niszczycielskich promieni słonecznych. Tutaj przechowywany jest najstarszy, bo pochodzacy z XII w. rękopis w języku węgierskim, obok niego przepysznie iluminowane modlitewniki, psałterze, żywoty świętych powstałe w epoce nie znającej jeszcze druku. Świeżość błękitu, złota i szkarłatu po tylu wiekach zachwycą.

Wchodzimy z kolei do następnego sanktuarium, sali starodruków, pochodzacych ze zbiorów prywatnych hr. Apponyi, arystokraty i uczonego. On sam spoglada na nas z portretu dobrotliwie i opiekuńczo. Hrabia Apponyi był wielkim kolekcjonerem, po wszystkich antykwariatach świata wykupywał węgierskie starodruki i opracował ich kilkutomowa bibliografie (A. Apponyi, Hungarica, Monachium 1903—1928). Ale dbały o rozwój kultury narodowej arystokrata zastrzegł sobie w testamencie, że zbiory jego i urządzenie pracowni pozostana bez zmian. Wola zmarłego została uszanowana. Przeniesiono więc do sali bibliotecznej wyposażenie jego gabinetu, biurko, ciężkie rzeźbione szafy, boazerie, portrety rodzinne. Nawet drzwi z jego domu wmontowane zostały u wejścia.

Tutaj historyk bez trudu odnajduje ślady naszych kulturalnych stosunków z bratnim węgierskim narodem. Pierwsze druki węgierskie wykonane w Krakowie, czy najdawniejsze drzeworyty naszej średniowiecznej stolicy zamieszczone w XVI-wiecznej kosmografii. Polonica sa zresztą wyodrębnione w osobnym dziale katalogowym, i jak mnie informowano wykonuje się tu wiele kwerend na zamówienia z Polski nadchodzace.

Pozostaja jeszcze zbiory specjalne — mapy, ryciny, muzykalia, oszałamiajacy przeglad skarbów kultury narodowej, i wiekowej troski o jej gromadzenie i zabezpieczenie.

Światowej sławy Biblioteka Széchényi nie może już zmieścić się w murach które dla niej przeznaczyli jej XIX-wieczni fundatorzy i ofiarodawcy. Niebawem opuści swa stuletnia przeszło siedzibę, przygotowuje się dla niej obszerne pomieszczenie w restaurowanym obecnie zamku. Ta gigantyczna już dziś zbiornica i placówka, zatrudniajaca ponad 300 pracowników, jest godna kontynuatorka i spadkobierczynia swej średniowiecznej prekursorki, chlubnej „Bibliotheca Corvina" z XV w. to też znajdzie godne i właściwe miejsce w dawnej królewskiej siedzibie.

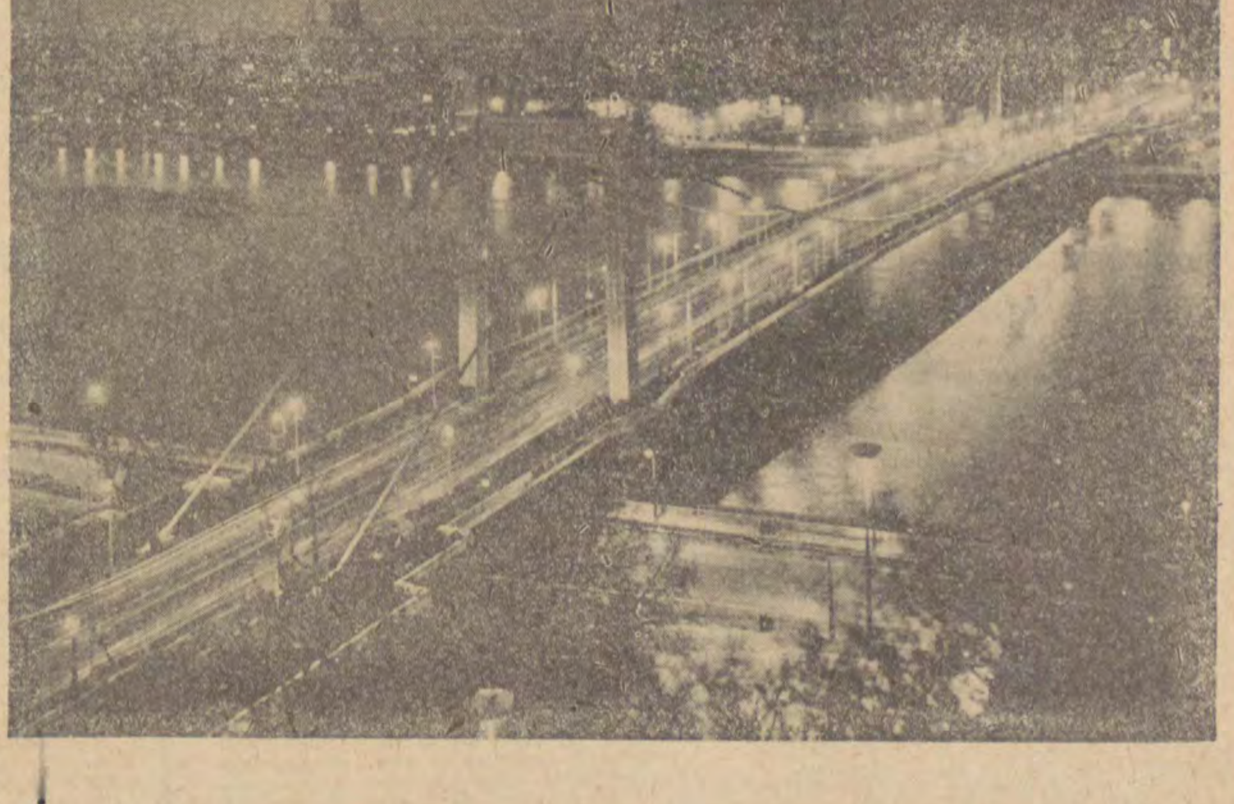

Jesteśmy jednak nadal w centrum Pesztu. Zapada zmierzch, zabłysły kolorowe neony. Pracowici mieszkańcy stolicy, spaceruja tłumnie po ulicach i skwerach, w tysiacach rozsianych po mieście barach i bistrach sacza swój ulubiony, narodowy napój, czarna, lepka i piekielnie mocna kawę. Wycieczka po mieście i historii na dziś skończona. Jutro wyruszam w dalsza wędrówkę w przeszłość i teraźniejszość — do królewskiej Budy.

TADEUSZ SŁUPECKI

W SZYDŁOWICACH

W pokoju przewodniczącego rady gromadzkiej w Szydłowicach panował stan ostrego, choć jednostkowego napięcia nerwów. A wszystkiemu winna była poranna, przeglądana teraz przez niego poczta.

— Psiakrew! Kiedy oni nam dadzą wreszcie spokój z tą kulturą! — irytował się przewodniczący. — Tu człowiek z roboty wyleźć nie może, a powiat nas beszta za brak dbałości o bibliotekę! I zarzuca, że w ogóle jesteśmy zapóźnieni z tymi jak im tam, Dniami Książki, Oświaty i Kultury! Zapóźnieni!! Zapóźnieni!!! — aż zapiał do siebie z gniewu, jakby dopiero teraz to słowo dotarło do jego świadomości. — A kto w zeszłym roku wybił się na czoło powiatu w urodzajach prosa? A w hodowli domowych królików? No ale skoro po tym powiat do nas jeszcze z pretensjami, to my im tu takie Dni Oświaty i Kultury przez ten miesiąc wyszykujemy, że w samym ministerstwie z wrażenia siądą! Tylko do tego potrzebny mi będzie chłop z nie lada fasonem.

Po debacie ze swym sekretarzem, przewodniczący zdecydował obdarzyć zaufaniem Gabrysia. Wprawdzie temu, odkąd wrócił z wojska, skąd za jakieś przewinienia wobec szeregowych zwolniono go karnie z zawodowej służby w randze plutonowego, wprawdzie więc temu wielu we wsi zarzucało, że w cywilu także pozostał mu nawyk do wojskowego „drylu", jak to nieraz w gospodzie sam do kompanów określał, i że podobno wskutek tego nawet krowy przy udoju musiały przed nim stawać na baczność. Lecz właśnie ta powszechnie we wsi krytykowana wada Gabrysiowego charakteru, w obecnej chwili wydała się przewodniczącemu raczej pożądaną zaletą.

Wezwał więc Gabrysia do siebie, powiadomił o nadziejach, jakie żywi wobec niego, A Gabryś zgodnie z oczekiwaniem, wziął się do rzeczy ostro.

Już pierwszego wieczoru światło w oknie jego chałupy nie gasło do późnej nocy. On sam natomiast, nie zważając na żonę, młodą jeszcze i dlatego na niego w łóżku tęsknie gderzącą, kaligrafował starannie piórem na arkuszu pakowego papieru, pomagając sobie przy tym wywieszeniem z ust koniuszka języka, następujący, obmyślony przez siebie tekst:

!!! !!!

ROZKAZ MOBILIZACYJNY NR 1
PODAJE SIĘ DO PUBLICZNEJ
WSZYSTKIM WIADOMOŚCI
ŻE
Z DNIEM DZISIEJSZYM
NA TERENIE CAŁEJ GROMADY
SZYDŁOWICE WPROWADZA
SIĘ
M O B I L I Z A C J Ę
CZYLI KSIĄŻKOCZYTANIE, CZYLI REWOLUCJĘ KULTURALNĄ, KTÓREJ TO ATOLI PODLEGAJĄ WSZYSCY TUTEJSI OBYWATELE BEZ WYJĄTKU I TAKŻE BEZ RÓŻNICY CZY TO BĘDZIE DOROSŁY MĄŻ, CZY JEGO ŻONA, CZY TEŻ NIELETNIE DZIECIĘ PŁCI OBOJGA JEŚLI TYLKO ZOSTALI TUTAJ PRZEZ KOGOKOLWIEK ZRODZENI ŚLUBNIE, NIEŚLUB NIE CZY TEŻ NAWET W JAKIŚKOLWIEK INNY RZADZIEJ PRAKTYKOWANY SPOSÓB W LATACH
1914 — 1964.
ZGŁASZAĆ SIĘ DO BIBLIOTEKI W POKOIKU, TYM Z WEJŚCIEM PRZEZ WĘRANDĘ, PRZY SZANOWNYM PREZYDIUM GROMADZKIEJ RADY NARODOWEJ. PRZYJMUJE SIĘ TAM PRZEZ CAŁĄ DOBĘ ALE WYŁĄCZNIE WEDŁUG KOLEJNOŚCI DUŻYCH LITER ALFABETU.
OJCZYZNA WAS WZYWA.
SZEF REWOLUCJI KULTURALNEJ
W SZYDŁOWICACH
(—) WAWRZYNIEC GABRYŚ
PLUTONOWY W STANIE SPOCZYNKU

!!! !!!

Noc upływała. Żona w łóżku zakryła swoją głowę przed światłem poduszką i z rezygnacją pochrapywała pod nią w samotnym śnie. A on wciąż marzył, na dobre porwany przez ideę odrobienia w ciągu Dni Oświaty i Kultury, zapóźnień kulturalnych swojej wsi.

Każdego z tych Dni, jakie mu dano do dyspozycji — rozmyślał — wpadnie znienacka do biblioteki, aby skontrolować obowiązkowość bibliotekarki i czytelników.

I zawsze już z daleka wyczuje w tłumie takiego, który będzie usiłował zwrócić bibliotekarce książkę bez jej przeczytania.

— Tak. To dlaczegoście to, obywatelu, nie przeczytali, w domu tej rzeczy o „Metodach szybkościowego spawania wieżowców"? Toż to bardzo dla chłopów ciekawa książka — powie wtedy w bibliotece na oczach tłumu, na pozór całkiem spokojnie, ale tak jakoś, że pytanemu niby rekrutowi, zaraz zaschnie w gardle.

— A bo a bo — będzie bąkać ze dwie minuty tamten, nie śmiejąc swemu szefowi odburknąć, co by drań na pewno uczynił kiedy indziej, że diabła tam obchodzi go spawanie i jakieś wieżowce.

— Co za „abo"? Będziecie wy mi wreszcie skurczybyki czytać, co wam rozkazuje Ojczyzna, czy nie? — warknie na to Gabryś, po tych dwóch długich minutach ogólnego wyczekiwania. — Was łeb nie boli, czym się później wieś przed powiatem wykaże, ale ja mam tu z takimi wsiowymi ofermami, urządzić Dni Oświaty i Kultury! Brać mi to dzieło z powrotem! Baaaaczność! W tył przez prawe raaamię zwrot! Do chałupy swej biegiem maaarsz! A w połowie wsi śpiewać, śpiewać mi głośno, i wesoło, bo analfabeci i niedowidzący z okien na was i zza płotków patrzą!

Chłop przepisowo zasalutuje, zrobi w tył zwrot przez prawe ramię i równym krokiem pomaszeruje przez wieś, wesoło śpiewając, do domu, gdzie dopiero jak niepyszny siądzie nad książką o spawaniu wieżowców. On zaś, aby sprawdzić kulturalne pogotowie swojej wsi, zarządzi w niej następnej doby nocny alarm. Oczywiście, z braku w bibliotece broni palnej, alarm ogłosi bicie w tuzin garnków zakupionych w tym celu z funduszów na kulturę.

— A kto to, ofermo powiedział i gdzie: NIE CZAS ŻAŁOWAĆ RÓŻ GDY PŁONĄ LASY? — zagadnie znienacka w gęstym mroku nocy stając w rozkroku przed frontem wyciągniętych z łóżek chłopów i bab. Swoim bystrym wzrokiem wyszuka przy tym zaraz wśród nich, oczywiście, najbardziej zaspanego.

— Ano, widzi mi się, że Słowacki. Ten warszawski malarz, co w książce ze szwedzką lilją wojował — wymamrocze zagadnięty ledwie ze snu przytomny i z sześciu arcydzieł literatury, przeczytanych wczoraj na rozkaz, pamiętający jedynie piąte przez dziesiąte.

Gabryś tylko mocniej rozkraczy się na szeroko rozstawionych nogach i aż zaniesie

Rys. M. Kapuścińska

się od szyderczego śmiechu.

— Co takiego? — przemówi na koniec. — Przede wszystkim wy mi, biblioteczna ofermo raz na zawsze zapamiętajcie, że gdy się rozmawia z przełożonym, to przedtem trzeba zawsze zapiąć rozporek w spodniach i kopyta zewrzeć na baczność. A po drugie to kiedy ja was w końcu, kurza wasza mać, tej kultury nauczę! Słowacki, zapamiętajcie, nie był warszawskim pędzlistą, a narodowym Królem polskich Duchów! Przy tym miał do czynienia nie z lilją wodną a z Lilla Weneda! I nie ze szwedzką, a jak wskazuje nazwisko, z wenecką czyli włoską! I z nią nie wojował, a nikczemnie ją w zacofanym średniowieczu uwiódł! Powtórzyć!

I zaraz wyszuka w dwuszeregu następną ofiarę, zaskakując ją pytaniem o Poetę, który tworzył w takich oto strofach:

CHOĆBYŚ, CHŁOPIE,
JAK KRÉZUS
BYŁ ODZIANY
W MARMURY —
ALE SZCZĘŚCIE,
O,
WIERZ MI,
TYLKO W BIUŚCIE KULTURY!

Druga ofiara, widocznie lepiej przygotowana albo nieco mniej zaspana, odpowie na to z przymilnym uśmiechem i już w przepisanej regulaminem postawie, tak łagodzącej surowy wzrok przełożonych:

— Obywatelu Szefie! Melduję posłusznie, to początek drugiej księgi Poematu Obywatela Szefa! Poemat ten Obywatel Szef napisał na cześć i chwałę Dni Oświaty i Kultury oraz dla odrobienia w Literaturze Polskiej tych jej zapóźnień z przeszłości, które przyczyniły się także do zapóźnienia Polskiej Wsi!

Wtedy Gabryś, który ten poemat spłodzi w natchnieniu jutro, między dwoma udojami krów i także zaliczy go do obowiązkowej dla chłopów lektury, uśmiechnie się nieznacznie, bo autorowi przy ludziach nie będzie wypadało objawiać swej autorskiej dumy, rozluźni nieco własną postawę na rozkraczonych nogach i nocny alarm odwoła. Będzie nim zresztą sam już trochę zmęczony.

Już teraz czuł w sobie tamto swoje przyszłe zmęczenie.

Głowa opadała mu coraz niżej.

Aż zasnął przy stole na swym rozkazie mobilizacyjnym z czołem opartym wygodnie na łokciu i nabity marzeniami wprost po czubki włosów. Nawet parokrotnie w nocy do tych marzeń przez sen się uśmiechał. Ale spełnić ich nazajutrz już nie zdołał. Dlaczego, różnie o tym później w Szydłowicach mówiono.

Na jedno godzili się tam wszyscy bez zastrzeżeń: że następnego dnia po owej nocy marzeń przewodniczący postanowił jednak szerzyć kulturę w swej gromadzie przy pomocy innego człowieka.

Był to z kolei, jak mówiono, sympatyczny, choć trochę przygłuchy staruszek, prowadzący w parafii niegdyś spisy chrzcin i ślubów. I do dziś uważający je za najlepsze okazje do wyżycia się swojej wsi.

Roman Gorzelski — *Przekłady z rosyjskiego*

ANNA ACHMATOWA

Nad morzem

Zatoki poszarpały niski brzeg,
Wszystkie żagle uciekły w morze,
A ja suszyłam słony warkocz
Wiorstę od ziemi na płaskim kamieniu.
Przypływała do mnie zielona ryba,
Przylatywała do mnie biała mewa,
A ja byłam zuchwała, zła i wesoła
I nie wiedziałam, że to jest — szczęście.
Zagrzebywałam w piasku pstrokatą sukienkę,
Żeby wiatr jej nie porwał, nie zabrał włóczęga,
I wypływałam daleko w morze,
Leżałam na ciemnych, ciepłych falach.
Kiedy wracałam, już latarnia morska
Świeciła na wschodzie migotliwym światłem,
I mnich spotkany u bram Chersonesu
Mówił: „Czemu włóczysz się po nocy?"
Sąsiedzi wiedzieli — ja wyczuwam wodę,
I jeśli kopali nową studnię,
Wołali mnie, by im pokazać miejsce,
Żeby nie męczyli się na próżno.
Zbierałam francuskie kule,
Jak się zbiera grzyby i jagody,
I przynosiłam do domu w podołku
Odłamki zardzewiałe ciężkich bomb.

* * *

Kiedy umiera człowiek,
Zmieniają się jego portrety.
Inaczej patrzą oczy, i wargi
Uśmiechają się inaczej.
Zauważyłam to po powrocie
Z pogrzebu pewnego poety.
Od tego czasu często to sprawdzałam,
I moje przypuszczenie było słuszne.

SAMUIŁ MARSZAK

Przemijanie

Człowiek pisze, a czas ciągle ściera,
Ściera wszystko, co zetrzeć jest w stanie.
Ale powiedz, jeśli słuch umiera,
Czemu dźwięk skazano na konanie.

On w chwilę połączy się z ciszą,
Coraz ciszej brzmią w oddali kroki.
I nie słuchem, lecz sercem wciąż słyszę
Tamten śmiech i tamten głos głęboki.

Samotność

Ciężkie jest brzemię miłości,
nawet jeżeli nieść je we dwoje.
A teraz jestem sam.

Twojej cząstki i mojej strzegę,
Ale dla kogo i po co
— nie potrafię powiedzieć.

GRIGORIJ PIETNIKOW

Grigorij Pietnikow urodził się w 1894 roku w Petersburgu. Jego babka (z domu Krajewska) Polka, była córką uczestnika powstania styczniowego w 1863 roku. Pietnikow był członkiem futurystycznej grupy poetyckiej, do której należeli m. in. W. Chlebnikow, D. Burluk, W. Majakowski. Pietnikow zajmuje się również przekładem z języków: niemieckiego, francuskiego, greckiego, ukraińskiego i polskiego. Wiersze jego były tłumaczone na wiele języków europejskich.

Odchodzi dzień

Odchodzi dzień, odchodzi rok, odchodzi człowiek.
Lgną do siebie
Dwa jabłka na mięśniach wykrzywionych gałęzi.
Z ulic dobiega turkot wozów,
Wzlatuje kurz, a nad nim konie
Kołyszą swoje głowy.

Krążą po płaskich biodrach wzgórza
Kraczące uroczyście wrony,
A tajemne wojsko owadów,
Jak dźwięk struny — leci przez pola.

Las wydobywa z siebie szum,
Tego włóczęgę, brata wiatrów.

A ja pośród jesiennej uczty,
Jak drzewo, ptak, jak stukot kół,
Z tym światem czuję się związany.

Odchodzi dzień, i rok, i — człowiek.

ANDRZEJ GRUN

PEJZAŻE NA DŁONI

Mały pokój w oficynie jednej z łódzkich kamienic. Atmosfera spokoju, ładu i porządku. Pracownia Henryka Strumiłły. Malarz mieszka tu i tworzy. Obrazy, korzenie drzew, tapczan, biblioteka, sztaluga. — To wszystko.

We wnęce — poskładane płótna, przybory malarskie. Zapach farby. Słońce nie zagląda tu nigdy. Pod sufitem jarzeniówki. Strumiłło maluje przy sztucznym świetle. Grube ściany starej kamienicy nie przepuszczają żadnych dźwięków. Spokój i cisza. Jak w jego obrazach.

Jest bowiem malarstwo Strumiłły malarstwem statycznym, spokojnym, ujętym w kategoryczne ramy i reguły. Daremnie szukalibyśmy w nim gwałtownych, brutalnych sieć różnorakich faktur, dynamizmu wynikłego ze stosunków kolorystycznych czy kompozycyjnych układów form. Paleta malarska zamyka się w brązach, ciepłych czerwieniach, błękitach i bielach. Te barwy — z całym bogactwem tonów i odcieni — są fundamentem, kolorystyczną kanwą tego malarstwa. Koneksje artystyczne z przeszłością? Koncepcje Bonnarda czy Pankiewicza, koncepcje „polskiego koloryzmu" są Strumiłle obce, tak zresztą, jak obce są na dobra sprawę całemu polskiemu pejzażowi. Przeniesione z Francji, z Francji słonecznej, gdzie rozgrzane, prześwietlone, czyste powietrze stwarza zupełnie inne warunki percepcji wizualnej do pejzażu polskiego — stłumionego, wyciszonego, nie tak wyraźnego i jednoznacznego jak pejzaż francuski — wydały dzieła znakomite, ale w odniesieniu do warunków lokalnych zgoła nieprawdziwe. Polskę malowano we Francji. Polski postimpresjonizm i kubizm powstał w warunkach francuskich. Wyrwany z nich uległ procesowi atrofii, stał się tworem sztucznym.

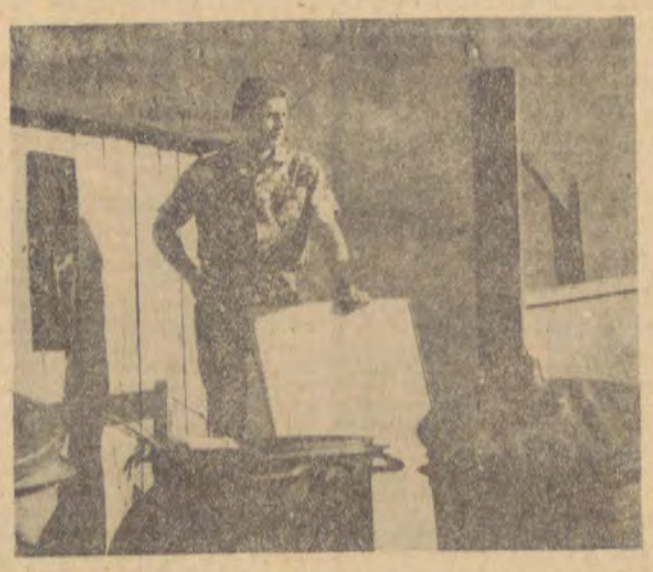

Fot. Zdzisław Walter

Jeżeli łączy Strumiłłę cokolwiek z tą tradycją, to chyba tylko i wyłącznie zasada budowania przestrzeni. Wrażenie przestrzenności i powietrzności w obrazie uzyskiwali impresjoniści i postimpresjoniści nie ustawianiem przedmiotów wzdłuż wytycznej perspektywy a za pośrednictwem koloru i światła. Strumiłło wyklucza światło. Pozostawia kolor. Jego natężeniem i temperaturą kształtuje przestrzeń w swoich obrazach. Ale sam kolor też jest inny, nie rozbity, wibrujący a ciężki, intensywny, nieomal że materialny. W nasyceniu i sposobie położenia przywodzi nieodparcie na myśl starych mistrzów. Jak i u nich, kolor ma tu swój ciężar, jest prawie dotykalny. To wrażenie pogłębiają jeszcze kładzione na powierzchnie malatury grube warstwy werniksów, lakierów, szkliwa żywiczne. I one też stwarzają ową powietrzność, głębię ale tylko we wnętrzu samych barw. (U impresjonistów i postimpresjonistów zjawisko powietrzności zachodziło w całym obrazie, wychodziło poza jego ramy i uzyskiwane było zresztą innymi środkami).

Strumiłło zrezygnował ze światła, zrezygnował z określenia przestrzeni i form światłocieniem. Zastąpił je wewnętrzną poświatą, blaskiem odśrodkowym, którego źródło jest niewiadome i niesprecyzowane. Tak jak przy zjawisku zorzy polarnej. Wypływa owa poświata jakby z wnętrza obrazu, spod warstw farby, spoza form. Jest trudna do uchwycenia. Nadaje obrazom pierwiastek tajemniczości i mistycyzmu. Sugeruje, że coś jeszcze dzieje się pod powierzchnią materii malarskiej, we wnętrzu, poza prostokątem płótna.

Prześwietlona czerwień, błękit który wydaje się nie mieć kresu — coś działo się lub będzie się dziać za chwilę. Bo spokój i hieratyczność obrazów Strumiłły są pozorne. To złudzenie. Malarz nie powiedział wszystkiego. Nie określił i nie nazwał — w malarskim sensie tego słowa — rzeczy i stosunków między nimi w sposób ostateczny. Oglądając te obrazy zaczynamy podświadomie na coś czekać i im dłużej na nie patrzymy, tym większy wzbudzają niepokój i większą niepewność.

Pisał Julian Przyboś „...aluzja, tylko sugerowanie rzeczy strasznych działa w sztuce nieporównanie skuteczniej na naszą zdolność współczucia — niż dosłowność i naoczność".

Żaden z obrazów Strumiłły nie jest jednoznaczny i dosłowny.

We wstępach do katalogów wystaw nazywano Strumiłłę malarzem „form organicznych". Dla mnie osobiście jest on pejzażystą. I to nie malarzem księżycowych, astralnych, fantastycznych krajobrazów a naszych, ziemskich, tak dobrze znanych i po wielekroć oglądanych codziennie. Tylko że w jego pojęciu pejzaż nie jest tylko tym co widzi patrząc przed siebie i co znajduje się nad i pod linią horyzontu, a tym co otacza go ze wszystkich stron. Jest także pod jego nogami. Kiedy zagarnie ręką garść piasku — pejzaż jest na jego dłoni. Nie posiada horyzontu. Nie zaczyna się i nie kończy. I on sam jest częścią tego pejzażu. Strumiłło nie ogląda a bada pejzaż. Jak naukowiec. Rozkłada na czynniki pierwsze, analizuje, sumuje, wybiera, powiększa. Dokonuje najrozmaitszych operacji aby uchwycić istotny sens, dać syntetyczny i samoistny obraz natury. Owa homogeniczność z pejzażem sprawia, że jest on malowany jakby od środka, z bardzo bliska, w zmienionej skali i proporcji. Nazwałem kiedyś obrazy Strumiłły „tablicami poglądowymi". Jest w tym określeniu pewna racja. Czyni on bowiem wysiłki, aby ukazać nam świat przez nas niezauważalny, nieznany nam, w miarę możności najwierniej, nieomal naukowo.

Cisza tych obrazów jest pozorem. Pod malarską materią tętni życie. Natura sportretowana została w momencie letargu, pozornego bezruchu. Ale żyje. A jaka jest w momencie ruchu? Jakie prawa rządzą w tym świecie?

To niedopowiedzenie, zdanie przerwane w połowie czyni te obrazy w gruncie rzeczy niezwykle dramatycznymi. Właściwa akcja toczy się poza ramami płótna — w umyśle widza. Wyobraźnia została zaatakowana. Następuje reakcja łańcuszkowa — widz nie zazna spokoju. Sam musi dokonać interpretacji i określenia, sam musi obsadzić persony dramatu. W ten sposób współuczestniczy niejako w procesie tworzenia. Taki jest zamysł malarza-reżysera.

W kącie pokoju-pracowni leżą hantle, sztanga, sprężyny. Strumiłło był kiedyś ciężarowcem. Teraz też, od czasu do czasu podnosi tych „ileś tam" kilogramów — żeby nie wyjść z wprawy — jak mówi. Potężnie zbudowany, spokojny, flegmatyczny. Dwa, trzy razy w roku wyjeżdża z Łodzi. Jedzie w góry. Tu szuka tematów do swoich obrazów. Przywozi z tych górskich wędrówek setki szkiców, akwarel.

W pokoju-pracowni panuje cisza. Grube ściany starej kamienicy nie przepuszczają żadnych dźwięków. Zapach farb i werniksów.

ANUSZ TERMER

Realizm Bernarda Sztajnerta

„Siedziałem z Kaltenem i Klaudiuszem pod żyrandolem w pustej już niemal kawiarni. Klaudiusz opowiadał o mojej powieści, którą niedawno przeczytał. „Wszyscy jesteśmy śmiertelni, mówił Klaudiusz, ale ty masz obsesję śmierci – twoim stałym tematem i jedynym bohaterem jest śmierć". Kiedy Klaudiusz wymówił słowo „śmierć", zgaszono nad nami żyrandol. „Drogi Klaudiuszu, powiedziałem proszę cię, abyś nic nie mówił na poważne tematy. Sam widzisz, że twoje słowa mają moc magiczną. „Klaudiusz machnął na mnie ręką. „Realizm twojej powieści jest pozorny. Postacie łączą w sobie cechy nie przystające i są nadrealistyczne. Ustawicznie wprowadzasz postacie nadrealistyczne."

Oto fragment najnowszej powieści Bernarda Sztajnerta „Grupa Pięciu", który śmiało możemy uznać za autokomentarz pisarski, mimo, że słowa te wypowiada właściwie narrator tej powieści, a którego przecież nie można zupełnie utożsamiać z autorem, mimo całej gamy mniejszych lub większych podobieństw czy też lepiej może powiedzieć, analogii zachodzącej między tymi dwiema postaciami: fikcyjnym narratorem i rzeczywistą postacią – autorem: między Brunonem Bunderem a Bernardem Sztajnertem. Rzecz w końcu nie taka błaha jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Bowiem chodzi w tej powieści m. in. o takie sprawy jak: zagadnienie autoświadomości pisarskiej, warsztat twórca i jego miejsce w społeczeństwie. A więc problemy, które, w narracji pierwszoosobowej, muszą być prezentowane przez narratora o wysokim poziomie intelektualnym, aby nie było dysonansu – jak się to często zdarza – między tym co on wypowiada a jego poziomem umysłowym, dedukowanym zawsze z cech osobowych w jakie wyposaża go autor. Z drugiej strony, skoro porusza się tak istotne zagadnienia dotyczące dziedziny „własnego podwórka" literackiego i jeśli przyjąć, że utwór literacki jest skierowany do czytelnika projekcją przekonań autorskich, to trzeba po prostu przyjąć – i będzie to chyba zabieg uprawomocniony – że pod postacią narratora ukrywa się sam autor.

Piszę o tym, ponieważ zbyt często utożsamia się narratora z autorem, imputując temu ostatniemu szereg sądów i przekonań, których on wcale podzielać nie musi. Dziedzina to zresztą delikatna i ważna – jest jednym z głównych przedmiotów sporu w metodologicznych poszukiwaniach właściwej teorii interpretacji tekstu literackiego. Jest częścią pytania szerszego: jak znaczy utwór literacki, na jakiej właściwie podstawie przypisuje się poszczególnym utworom czy też ich fragmentom (elementom), taką a nie inną wymowę?

Pytania te, tym trudniejsze w odniesieniu do prozy „nowoczesnej" niż „tradycyjnej", wynikają z tego, że każdy utwór jest tworem wielowarstwowym i wieloznacznym. Zerwanie z zasadą weryzmu w sztuce „nowoczesnej", z zasadą „prawdopodobieństwa życiowego" i związane z tym techniki narracyjne czynią rzecz trudną i skomplikowaną nie tylko sztukę interpretacji, ale uniemożliwiają wręcz opowiedzenie „własnymi słowami" niektórych tych utworów.

Bernard Sztajnert w karykaturze Ibis-Gratkowskiego

W przypadku „Grupy Pięciu" sprawa komplikuje się jeszcze bardziej. Oto pozornie wszystko jest tu jasne: „Bohaterem „Grupy Pięciu" jest grupa artystyczna, która po kilku latach istnienia rozpada się i która chce złączyć na nowo narrator, Brunon Bunder, „będący poetą i urzędnikiem jednocześnie" — pisze na skrzydełku obwoluty Edward Balcerzan. – „Narrator próbuje odkryć powody dezintegracji Grupy. Każdy rozdział jest poświęcony poszukiwaniom jednego z byłych jej członków, rekonstrukcji sylwetek, biografii przyjaciół Bundera, analizie ich aktualnej sytuacji.".

Tak, to wszystko prawda, to w tekście rzeczywiście jest. Ale czy rzeczywiście o to tylko chodzi? Wszak w takim typie opowiadania jaki prezentuje Sztajnert (monolog wypowiedziany i zintelektualizowany monolog wewnętrzny) nie chodzi o samo przedstawienie jakiegoś zdarzenia czy postawy, ile o interpretację. Przywoływana przeszłość, czy nawet stany będące dopiero in statu nascendi, nie układają się nigdy w kształt fabuły (w tradycyjnym przynajmniej sensie), pełnią bowiem przede wszystkim funkcję argumentu w dyskusji, którą prowadzi sam z sobą, w swym monologu i rozmowach z innymi, narrator. Powstaje tu coś w rodzaju quasi-biografii, gdzie jak zawsze w przypadku biografii chodzi o omówienie przeszłości ze względu na teraźniejszość: o sąd i interpretację własnego życia i gdzie inne „biografie" są tylko niezbędnym elementem tej próby samookreślenia. Przy czym ten obrachunek nie może być zamknięty — urywa się tylko w pewnym momencie otwierając dramatyczny znak zapytania: „Ja przecież ciągle jeszcze jestem — znane są niektórym moje książki, moje zwyczaje, moje miejsce pracy. Wystarczy zapytać o mnie Naczelnika" — powiada przy końcu Brunon Bunder. Wszystko się jeszcze może zdarzyć. Został definitywnie zamknięty tylko pewien okres jego życia. Próba przezwyciężenia samotności nie powiodła się, bo się powieść nie mogła. Narrator był chyba o tym przekonany od początku. W myśl zasad filozofii egzystencjalnej (która przeniknięta jest książką), nie zwalniało go to od obowiązku podjęcia walki z chaosem otaczającego świata. Zdezintegrowany jest jednak nie tylko świat, ale także i osobowość człowieka. Lecz stan ten jest u Sztajnerta zdeterminowany przyczynami realnymi, konkretnymi: ekonomiczno-socjalnymi i psychologicznymi, a nie metafizyczno-fatalistycznymi.

To jest największa zdobycz i najcharakterystyczniejsza cecha „Grupy Pięciu", książki ambitnej i udanej. Tym co może wprowadzać w błąd jest zastosowana tu dwoistość motywacji czyli takie przejście i połączenie zwyczajności z „nadrealizmem", które dokonuje się w sposób naturalny, na tyle jednak dostrzegalny, iż stwarza początkowo wrażenie tylko pozorów realizmu, który okazuje się w końcu realizmem głębszym, niż wiele tzw. realistycznych naśladowań historycznej techniki realizmu krytycznego czy naturalizmu.

*) Bernard Sztajnert: Grupa pięciu — wyd. Pozn. 1966, str. 139.

SPEKTAKLE tygodnia

TEATR

NOWY		
„Jeszcze raz o miłości", 2 spektakle	900 —	80%
„Trojanki", 1 spektakl	510 —	70%
„Ali Baba i 40 rozbójników", 5 spektakli	2614 —	74%
MAŁA SALA		
„Anioł na dworcu", 2 spektakle	220 —	58%
„Drewniana miska", 3 spektakle	500 —	70%
POWSZECHNY		
„Tango", 3 spektakle	1713 —	85%
„My fair lady", 2 spektakle	1174 —	88%
JARACZA		
„Się kochamy", 5 spektakli	2086 —	62%
„W pustyni i w puszczy", 5 spektakli	2800 —	84%
„O krasnoludkach i sierotce Marysi", 4 spektakle	2264 —	85%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ		
„Anioł na dworcu", 4 spektakle	591 —	50%
„Antygona", 2 spektakle	323 —	56%
„Pobożna Marta", 3 spektakle	333 —	46%
OPERETKA		
„Noc w Wenecji", 6 spektakli	5485 —	82%
7.15		
„Taka noc nie powtórzy się więcej", 6 spektakli	2532 —	100%
FILHARMONIA		
2 koncerty symfoniczne	691 —	50%

JANUSZ DUNIN

Z bibliofilskiego raptularza

TRADYCJE I EKSPERYMENTY

Bibliofilstwo to dziwne zjawisko — dla jednych jest tylko pasjonującym „konikiem", u innych staje się wiedzą lub sztuką. Trzeba wspomnieć, ma ono w naszym mieście godne uwagi tradycje. Zorganizowany ruch miłośnictwa książek przeszczepił na grunt łódzki niezwykły człowiek — krakauer z wychowania, działacz lewicowy z przekonań, podróżnik i literat z przypadku, medyk z wykształcenia, polonista z zawodu, zamiłowany historyk ilustracji, twórca i kolekcjoner pięknych druków — czyli po prostu Przecław Smolik.

W roku 1927 wraz z grupą łodzian takich jak Jan Augustyniak, Zygmunt Hajkowski, Zygmunt Lorentz i in. tworzy Smolik Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi. Organizacja ta dotrwała do drugiej wojny, choć jej złote lata przypadły na okres 1927—1935. Towarzystwo to miało nie tylko ściśle lokalne znaczenie, ale było jedną z żywotniejszych placówek tego typu na terenie Polski. Łódzcy miłośnicy książki tak jak wszystkie organizacje tego typu organizowali wystawy popularyzujące książkę, spotkania i odczyty, starali się pomóc w kolekcjonerstwie, a równocześnie przez penetrację zbiorów prywatnych podać do publicznej wiadomości co się w szafach i szufladach bibliofilów znajduje. Jednak ośrodek zorganizowany w robotniczym mieście miał też swoisty, twórczy charakter. Polscy bibliofile w swej większości byli zbieraczami i historykami książki i jeśli zdobywali się na wydawnictwa to były to rzeczy starannie i ze smakiem wykonane, ale jednocześnie bardzo tradycyjne w swej koncepcji, często ograniczające się do reprodukcji lub naśladownictwa dawnych wzorowych wydań.

W zasięgu oddziaływania łódzkiego Towarzystwa Bibliofilów znaleźli się plastycy Władysław Strzemiński i Karol Hiller, którzy nie mogli i nie chcieli ograniczyć się do takiego stosunku wobec książki — próbowali oni stworzyć estetyczne kanony druku przyszłości. Inicjatywy te popierał usilnie niemłody już Przecław Smolik, który potrafił godzić pasję historyka z predylekcją do skrajnie nowatorskich kierunków w sztuce, które starał się popierać wszystkimi dostępnymi środkami.

Jak we wszystkim co czynił, Wł. Strzemiński był najskrajniejszy, a jego koncepcje miały pewien wpływ na kształtowanie się sztuki drukarskiej. Najsilniej oddziałał na niektóre wydawnictwa Towarzystwa Bibliofilów, na publikacje grupy „a.r" oraz druki wykonywane w Publicznej Szkole Dokształcającej Zawodowej nr 10 w Łodzi. Swoją koncepcję rozwijaną w latach trzydziestych nazwał Strzemiński „drukiem funkcjonalnym" i sprowadzić ją można do stwierdzenia że piękno czarnej sztuki nie potrzebuje ozdób — konsekwentny druk funkcjonalny nie wprowadzał innych elementów poza czcionką. Drukarz stawał się tu współtwórcą tekstu. Dla podkreślenia elementów treści używano, a nieraz i nadużywano, zróżnicowanych czcionek wielkich i małych, cienkich i tłustych, drukowano je prosto i skosem, używano asymetrycznych rozwiązań układu kolumny. To co w opracowaniu artysty nie pozbawionego talentu i umiaru prowadziło do ciekawych efektów, w rękach naśladowców wiodło nieraz do niezamierzonych efektów komicznych. Trzeba jednak podkreślić, że twórczość Strzemińskiego mimo swej skrajności miała wiele elementów odkrywczych, które częściowo zostały wykorzystane przez nowoczesne drukarstwo.

Znacznie mniej radykalnym twórcą w zakresie zdobnictwa książki był inny wybitny plastyk łódzki lat międzywojennych — Karol Hiller. On również uważał ilustrację z jej głębią i złudzeniem trójwymiarowości za element obcy w druku, który w swej naturze jest dwuwymiarowy. Hiller dążył do wyeliminowania tego rozdźwięku przez tworzenie kompozycji jak najbardziej płaskich, takimi były jego litografie, którymi uzupełnił tom wierszy innego łodzianina Witolda Wandurskiego, „Sadze i złoto" (1926). Do ostatecznych konsekwencji swą metodę twórca doprowadził w niektórych swych ekslibrisach, o których pisał Smolik „...ekslibrisy Hillera są kompozycjami w pełnym tego słowa znaczeniu drukarskimi i żadna z nich nie wniesie do książki rozdźwięku..."

Mimo iż rozwój współczesnego zdobnictwa książki i ekslibrisu poszedł w nieco innym kierunku, nie można odmówić logiki i konsekwencji próbom łódzkich twórców, których prace zdobyły odrębne miejsce w dziejach pięknej książki.

Blisko czterdziestoletnią tradycję łódzkiego ruchu bibliofilskiego próbuje od kilku lat kontynuować Klub Miłośników Książki działający w ramach Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Niestety Klub ten stracił ostatnio swą prężność i niewiele o nim słychać, a przecież w mieście w którym zaszło tyle zmian i sytuacja książki jest radykalnie inna niż przed ćwierćwiekiem, ciągle potrzebna jest grupa zapaleńców zwanych bibliofilami, którzy w przedmiocie tak dziś powszednim jakim jest książka potrafią odkryć piękno i smak twórczej przygody.

STANISŁAW KASZYŃSKI

TAKO RZECZE KLASYK...

Widząc na afiszu łódzkiego teatru nazwisko Ionesco *, od dychamy z ulgą — ktoś wreszcie pomyślał i odważył się sięgnąć po teksty, wprowadzające wyśmienicie i bez błędnie w ten rozdział nowoczesnego dramatu, który wciąż jeszcze budzi tyle nieufności i oporów wśród dużej części publiczności. Nam, piszącym, wytracono z rąk zarzut opieszałości i zapóźnienia. Skoro mamy na naszej scenie, po długim czekaniu, autora tej rangi, nie myślimy nawet zrzędzić, że zjawił się w niedobrej kolejności, poprzedzony wątpliwymi artystycznie produktami, pozornie tylko spokrewnionymi z tym dziedzictwem, którego on, twórca „Lekcji", jest bezspornym ojcem. Gdyby wcześniej się pojawił, ileż by się uniknęło nieporozumień, iluż widzów przekonalibyśmy bez większego trudu do oglądania przynajmniej widoków absurdalności... Więc dobrze, że odrabiamy zaległości, spłacamy zobowiązania. Wierzę, że nie przypadkiem zatroszczyła się o to Mała Sala, jak i nie przypadkiem podjął się zadania p. Tadeusz Minc, pociągając do współpracy scenograficznej p. H. Poulaine'a. Aż kuszą spostrzeżenia na temat tej filii-placówki, uwagi o jej dość rozczepionym modelu, który również przecież i niejednokrotnie określał ten właśnie reżyser: tu dojrzewał jego talent, szlifował tutaj swe umiejętności. Też, jak mniemam, nie przypadkiem, Minc najlepiej się czuje w zwartej, kameralnej przestrzeni, która zawsze była miejscem, czasem schronieniem racjonalistów teatru. Chciałoby się nieco obszerniej pogwarzyć o tym, z konieczności posłużmy się skrótami.

Uwzględniając oczywisty fakt, że nie zawsze reżyser, etatowy czy „dochodzący", decyduje o wyborze przygotowywanej przez siebie sztuki, to w wypadku Minca ta życiowa konieczność raczej nie występuje. Jego zainteresowania reżyserskie, mówiąc najogólniej, koncentrowały się jak dotąd z reguły wokół problematyki dramatu postaw. Dzięki temu mógł się już jakoś samookreślać przez wybór, umiejąc zawsze z tej rozważnej selekcji wyciągnąć prawidłowe konsekwencje sceniczne. Wyraziło się to już w „Brytanniku", jednej z pierwszych, znaczących prac; pomijam z przytoczonych powodów realizacje w teatrze telewizyjnym, niezbędne dla rozważań szczegółowszych. U Racine'a szukał i odnalazł to, co zdaje się być mądrym poświadczeniem jego upodobań, może i marzeń, ale i inklinacji estetyczno-poznawczych: odnalazł wielki, namiętny w dojrzałości klasycznej teatr poetycki, wizję poetycką historycznego tematu, klarowną, prostą, męską, uwierzytelnioną w dodatku głębią i przenikliwością psychologiczną. Nawiasem powiedziawszy, ówczesny duch Dejmkowski Teatru Nowego jakże usprawiedliwiał i legitymował wybór tej właśnie tragedii politycznej, chociaż już wtedy, w krystalizującej się poetyce Minca można było dostrzec odstępstwa, inne rysy i cele inne, od tych, jakie przyświecały Dejmkowi: nie poszedł ścieżką swego wodza jak np. później i dziś jeszcze idzie Marek Okopiński.

W „Brytanniku" miał precyzyjnie wyważony konflikt, wyraziste obrysy antagonistów, wielkie idee i wielkie słowa. Położył przede wszystkim nacisk na słowo i gest, na tok dyskursywny, może silniej, jeśli wolno tak rzec, akcentował nurt refleksyjny niż sama argumentację; jest to wrażliwość na między-zdarzenia, na tło, na klimat, na dalsze jakby znaczenie.

I to następnie pielęgnował. Nie gonił jednak np. za aluzjami, nie narzucał widzowi elementów korespondujących z jego prywatnym czy społecznym życiem, owszem, czynił aluzje intelektualne, filozoficzne, a poza racjami protagonistów dostrzegał i racje bardziej ukryte: w działaniach, w namiętnościach ludzkich. Rekonstruowana w ten sposób rzeczywistość, z reguły wyciszona na powierzchni, napięta jednak wewnętrznymi prądami, Minc lubi elektryzować, nasycać pewnym nastrojem niedopowiedzenia, zamyślenia, niekiedy tajemniczy, nie podważając jednocześnie nigdy racjonalistycznego porządku, w który niezachwianie wierzy; mimo radosnej, afirmatywnej tendencji, coś z tej atmosfery było w „Czerwonej magii", ten ton zapamiętałem i z „Galileusza".

Wszystko, czym Minc jako reżyser, dotychczas się zajmował, cały ten przedstawiany świat, podlegał prawom ładu i harmonii, mieścił się w granicach, które zgodnie z wiedzą i doświadczeniem nauki, stanowiły również nieprzekraczalne granice klasyków. Żaden protest bohaterów, żadne pragnienie, żadna namiętność nie potrafiły nim zachwiać ani wyprowadzić go z utartych kolein. Owszem, Galileusz ocierał się o tę myśl, zuchwale ją nawet rozwijał, lecz nie była ona wyrazem negacji, ani absurdu, tylko poprawy, reformy, ocalenia przed destrukcją.

I oto nagle, wkraczając w świat Ionesco, Minc dotknął już nie antypodów klasycznej rzeczywistości, lecz jej ruin, gdzie są jedynie reminiscencje i ślady, a raczej sprowadzone do bezsensu kalki i stereotypy dawnych zachowań, odczuć, myśli. Ale równie logiczne i narzucające się jak tamte.

Jeśli wolno się domyślać, bardziej go chyba zainteresowała druga jednoaktówka — „Szaleństwo we dwoje", wywiedziona z katastroficznej jakby przenośni, ze świadomości chwiania się norm, reguł, pojęć: dzieje się to wprawdzie na zewnątrz, nie dotyczy jakby ludzi, żyjących w izolacji, obcych sobie, wzajemnie się nienawidzących, chociaż skazanych na wieczne współprzebywanie, to niemniej i ich przenika bezład; są bowiem jego skrzywioną i zwielokrotnioną manifestacją. Scenografia zagęściła ten chaos i niedorzeczność, odsyłając i do głównego obsesyjnego problemu Ionesco: jego zmagania się z formami i wzorcami obyczajowości mieszczańskiej. Zadziwiające, jak ten pisarz skażony jest kompleksem mieszczanina, jak cały bunt i nienawiść do niego wynikają z fascynacji ohydą, banałem, stępieniem intelektualnym, martwicą moralną. Odsyłacze w scenografii to enterier punktujące styl i smak mieszczanina — duże czerwone róże.

W tym związku kompozycyjnym tekst „Lekcji" służyć może za objaśnienie, nie tyle problemu „Szaleństwa we dwoje", co podstaw i uwarunkowań absurdalności istnienia i grozy osamotnienia; absurd sprowadza się m. in. do tego, że zostało zerwane wszelkie międzyludzkie porozumienie, gdyż nie jest w

stanie przywrócić go nawet język, tak zdawałoby się niezawodny środek komunikacji. Od razu trzeba wyjaśnić, że Ionesco nie kwestionuje znaczenia samego języka, tylko jego zużycie, oddzielenie się od życia; nie należy go, powiada, na nowo wynajdywać, a jedynie przywrócić mu właściwą nośność, pozbawić go skostniałych bądź fałszywych znaczeń. Jak trudno wyzwolić się od nich, wyeliminować frazes i szablon i dojść do jakiejś jednoznacznej wersji, o tym przekonują arcytrudne pytania z „Lekcji". Jesteśmy niewolnikami takich pytań i takich odpowiedzi, nie potrafimy się od nich oderwać, tak jak On i Ona nie mogą mimo wszystko rozłączyć się od siebie. Gdyż w tym rozprężeniu jest pewna prawidłowość, określająca sens wyobcowania.

Czy T. Minc, tropiciel klasycznej harmonii, pragnął i tutaj ją odnaleźć? Nie! Po prostu zawierzając w pełni Ionesco, pokazał jakby nowy, tyle że odwrócony model egzystencji i do tego stopnia już ustabilizowany, że niemal klasyczny; nie bez kozery gra go dziś szacowna „Komedia Francuska".

W rezultacie przy realizacji przestrzegał trzech zasad: nie udziwniał, zachował refleksyjno-traktatowy ton i nie zagubił, nie spłaszczając, zabawno-komediowego charakteru. W jednej ze swych recenzji Ionesco napisał słowa, które odnoszą się również do jego własnych, autorskich konkretyzacji: „Humor wprowadza niezmącenie jasno w świadomość tragiczne i zasługujące na szyderstwo istnienie człowieka". Czuło się to i w naszym spektaklu. Tym bardziej warte jest to podkreślenia, ponieważ oglądaliśmy dość zróżnicowane aktorstwo. Np. powściągliwe, cyzelatorskie, mniej nastawione na syntezę aktorstwo p. T. Sabary (Profesor), które zawsze z przyjemnością spostrzegam; nerwowość mózgowca (Profesora) kontrapunktowana z im pulsywna i świeżą naiwnością Uczennicy (p. M. Maludzińska) przyniosła wcale interesujący efekt, jakkolwiek na mój gust zbyt wysunięto patologiczność.

Pewne zastrzeżenia mam co do transpozycji drugiej jednoaktówki, słabszej zresztą, może dlatego trudniejszej m. in. wskutek realiowo-obyczajowej struktury do wygrania. Wydaje mi się, że jeszcze nie umiemy sobie radzić w naszym teatrze z takimi „obyczajówkami" Ionesco, które nie mają jak np. „Łysa śpiewaczka" zdecydowanie groteskowej prowienience. Np. p. B. Majda oddała cienkimi środkami swoistą mentalność postaci, „włączając" do interpretacji krytyczno-uogólniający odcień, ale brakowało mi jakiegoś elementu, który by akcentował dziwaczną śmieszność. Czy nie za serio potraktowana postać? Tak bym pragnął, by uwolniono tę znakomitą aktorkę, choćby na pewien czas, od dość jednorodnych ról; jakże bym chciał zobaczyć p. Majdę w „Fedrze" Racine'a!

P. J. Tesarz miał zabójcze wąsy, wielkie nogi i donośny głos: był zabawny, dysponując takimi atutami, ale nie bardzo się śmiałem.

Rzadko który ze świeżo upieczonych klasyków umie bawić, przerażając: chodźmy na Ionesco!

---

* P. Teatr Nowy, Mała Sala: Eugène Ionesco, Lekcja (przekład Jan Błoński) i Szaleństwo we dwoje (przekład Jan Kott), reż. Tadeusz Minc, scenogr. Henri Poulain.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Stanisław Stanuch — PRZYSTANEK w SZCZERYM POLU — WL, cena zł 10.

Józefa Radzymińska — RZECZ NAJWAŻNIEJSZA — W. Łódzkie, cena zł 12.

Adolf Momot — TYLE SŁOŃCA — LSW, cena zł 10.

L. Tyrmand — ZŁY — Czytelnik, cena zł 50.

Danuta Bieńkowska — ZŁOTE JABŁKO — LSW, cena zł 17.

Gabriela Pauszer-Klonowska — HISTORIE NIE WYMYŚLONE — LSW, cena zł 23.

Bogusław Żurakowski — GRUDY ZIEMI WL, cena zł 10.

KRONIKA Antytelewizyjna

COŚ Z ODKRYĆ

Nasze odkrycia w różnych dziedzinach jakże często mają w swojej istocie coś z gorzkawego paradoksu lub szyderstwa. W ub. tygodniu przedstawiciel któregoś z biur turystyki zagranicznej w dzienniku TV przechwalał się, że wprowadzono nową jej formę czyli turystykę indywidualną. Prawda, że przeszłość takiej formy nie znała? Jak tak dalej pójdzie, to może ktoś wpadnie na myśl, że jednak mieszkania, uzależnione od scentralizowanego ogrzewania, trzeba ogrzewać wtedy, gdy ludziom jest zimno: marzną, kaszlą, chorują, pracują mniej wydajnie. I w Łodzi i w Warszawie okazało się, że wbrew dobrym chęciom nic się nie da zrobić, z wyjątkową gorliwością przystąpiono do remontów instalacji, więc... Oby jesienią, gdy również z reguły zdarzają się cykle zimnych dni nie przewidywanych przez zarządzenia, nie okazało się, że te same instalacje znajdują się w remoncie!

Z kolei „Życie Warszawy" jeszcze raz poruszyło sprawę przechodzenia przez zebry. Poświęcono wiele wysiłków propagowaniu przechodzenia przez zebry, które przechodniom niczego nie gwarantują. Ba, sam kiedyś uświadomiłem sobie, że najniebezpieczniej bywa na zebrach i staram się przechodzić jezdnię w miejscach budzących więcej zaufania, a właściwie nie w miejscach lecz w upatrzonych chwilach, gdy na jezdni nie widzę pojazdów.

Oczywiście, „Życie Warszawy" od dawna ma rację, ale czy zostanie ona uznana przez kodyfikatorów przepisów drogowych. Czy i kiedy?

Inne, smętne odkrycia należą do cudzoziemca, F. Dürrenmatta. Zastanawia się Dürrenmatt we wstępie do świetnie napisanego, znanego w udramatyzowanej wersji, opowiadania „Kraksa": „Czy istnieją jeszcze jakieś historie możliwe, historie godne pisarza?... Rodzi się przeczucie, że nie ma już co opowiadać..." No, i obywatel komfortowego kraju, jakim jest Szwajcaria, ma wątpliwości, zadręcza się, boi się, że już mało co może osiągnąć „rangę uogólnienia". A odwiedza, jak gdzieś wyznał, tylko te kraje i miasta, w których wystawia się jego sztuki. Więc, ma się rozumieć, zaszczycił w 1962 roku i Polskę swoją osobą. Kraje, w których jego sztuk nie wystawia się, choć może tam „istnieją jeszcze jakieś historie możliwe", nie są godne uwagi Dürrenmatta, tam nie ma nic ciekawego!

Można i tak. Można przecież rozmaicie. Dürrenmatt jest znakomitym pisarzem, autorem „Wizyty starszej pani", jest pisarzem zręcznym. Można i w związku z powtórzeniem „Jesiennego wieczoru", owszem, inteligentnie doszukiwać się demaskatorskich zamierzeń w stosunku do współczesnej cywilizacji. Wołający o pomoc bohater słuchowiska, który uprzednio dowiedział się, kto zajmuje sąsiednie apartamenty luksusowego hotelu, przekona się, że zaufał swemu złudzeniu, świat na wiele zbrodni patrzy zimnym okiem, ba, jak twierdzi Dürrenmatt, potrzebuje zbrodni.

Uważam jednak, że Jesienny wieczór" należy potraktować po prostu jako doskonale skonstruowany utwór kryminalny, arcykobrę, zaś Jacek Woszczerowicz swoją wspaniałą grą o wiele przekroczył zawartość tekstu. W tym słuchowisku szwajcarski pisarz zakwestionował nawet tę szczególną instancję jaką jest dla ludzi literatura. Mordercą — wielokrotnym recydywistą, bohaterem „Jesiennego wieczoru" ma być laureat nagrody Nobla, przyjaciel Tomasza Manna i Hemingwaya. Wydało mi się to czymś wyjątkowo niesmacznym, za to pan Maliniak, dość typowy łodzianin z pewnych wysferzeń, z radością powtarzał: „Zawsze mówiłem, że największe łobuziaki to literaty!"

TV coraz skwapliwiej przejmuje do realizacji słuchowiska radiowe... Ale utwór Lucyny Legut „Nie trzeba krzykiem zagłuszać ciszy nocy" jest mało dramatyczny, za bardzo — zwłaszcza pod koniec — rozgadany. Mimo to obie role dają możność „wygrania się", z czego w pełni nie skorzystały ani Nora — p. Lothe-Stanisławska, ani Emilia — p. A. Chodakowska. Przedstawienie nadawał Gdańsk.

Filmowa relacja ze zjazdu pisarzy w Bydgoszczy została uzupełniona rozmową literatów, stanowiącą jak gdyby kontynuację dyskusji zjazdowej.

Nie wdając się w meritum, należy zauważyć, że filmowemu sprawozdaniu brakowało w wielu miejscach synchronizacji. Np. gdy mówiono o wystąpieniu Jarosława Iwaszkiewicza, pokazywano na trybunie zjazdowej Wilhelma Szewczyka... itd. Z okazji zjazdu dwukrotnie usłyszałem, że tamte ziemie wydały Jana Kasprowicza. Zdawałoby się, że jednym tchem należało wymienić i Stanisława Przybyszewskiego, ale nie wymieniono. Ktoś go skazał na niełaskę, choć Przybyszewski sroce spod ogona nie wypadł.

Ha! O nic u nas nie jest tak łatwo, jak o niełaskę!

Jan Huszczy

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Źle się dzieje w filmie polskim — powiedział kiedyś Wajda, a przypomniał to za nim Łapicki w ostatnim „Kinie", że jesteśmy za biedni, żeby robić filmy komercjalne, że skazani jesteśmy na arcydzieła. W niedobrym momencie przypomniano nam to — chyba tylko po to, żeby jeszcze bardziej rozjątrzyć zawiedzionych kinomanów. Kiedy więc pojawia się film ciekawy, sala świeci, niestety — pustkami. Tak było z „Niekochaną", która w związku z tym zdjęto po kilku dniach z ekranu, tak było ostatnio z „MIEJSCEM DLA JEDNEGO". Wielka to szkoda — oba filmy nie zasługują na takie przyjęcie. Przyznaję: daleko im do arcydzieł, ale są naprawdę dobre, ciekawe, warte obejrzenia.

Film Witolda Lesiewicza to dobrej klasy fabularyzowana publicystyka ekranowa. Pozbawiona pretensjonalności, prosta, szczera, interesująca, poruszająca istotne dla obecnej doby problemy. „Miejsce dla jednego" przypomina swą tematyką słynnego „Oskarżonego" Kadara i Klosa. Porusza problem odpowiedzialności człowieka na wysokim stanowisku, mówi o jego kłopotach i zmaganiach z nałożonymi obowiązkami. Sytuacja, w której znalazł się główny bohater filmu — dyrektor Nowicki, nie jest ani prosta, ani łatwa. Stanął on przed koniecznością wyboru: albo podporządkuje się całkowicie odgórnym przepisom i zarządzeniom, lecz wtedy straci ludzi i praca będzie „kulała" w fabryce, jak za jego często zmieniających się poprzedników — albo trzymać będzie z załogą, respektować jej możliwości, czasem kryć drobne wykroczenia, wtedy jednak narazi się władzy i może być nawet pociągnięty do odpowiedzialności sądowej. Dyrektor Nowicki — realista i trochę konformista (z konieczności) wybiera to drugie. Stawia fabrykę na nogi, produkcja rusza pełną parą, pewne nieformalności uchodzą mu płazem. Załoga fabryki jest zadowolona, władze również — z wyników pracy. Lecz po pewnym czasie rodzi się konflikt: do fabryki przychodzi na stanowisko zastępcy Nowickiego człowiek, któremu ta elastyczna polityka kompromisów, ustępstw wobec załogi, nie odpowiada. I wtedy za ciasno robi się tym dwu ludziom w jednym zakładzie. Nie mogą pracować ze sobą. Któryś z nich musi odejść. Ale który? Ustąpić nie chce żaden. Konflikt przeradza się w walkę, w której przeciwnicy przestają nawet być wobec siebie lojalni. Racje postępowania każdego z nich mają swoje uzasadnienie. I obaj w jakiejś mierze mają słuszność. Różnica zdań jest różnicą punktu widzenia. Konflikt między nimi ma swój szerszy kontekst; to w gruncie rzeczy konflikt między konformistycznym realizmem a nieustępliwym, bezwzględnym idealizmem. Nie rozwiązuje się go w filmie do końca, pozostawia się prawo wyboru racji, zajęcia stanowiska widzowi. Wciąga się go do dyskusji w tych sprawach. Zachęcam: dajmy się wciągnąć. To naprawdę niezły film. Warto go obejrzeć.

Dobry kryminał z fatalnym, bardzo melodramatycznym, w bardzo złym stylu zakończeniem, psującym efekt całości. Oto jak najkrócej określić można film Eduarda Molinaro „ŚMIERĆ BELLI". Nie jest to „rasowy" okaz tego gatunku. Główny nacisk położony jest bowiem nie na fabułę o charakterze kryminalnym, lecz na przeżycia głównego bohatera. Dlatego jest to raczej dramat psychologiczno-kryminalny o powolnym tempie akcji, ukazującej stopniowo metamorfozę posądzonego o morderstwo bohatera. Pisano o nim w „Film Kritik": „Jest to psychologiczne studium pewnego człowieka pełnego kompleksów, który — wyrwany ze swojej zwykłej pozycji i ze swego Ja — jest w filmie, opartym na scenariuszu Jean Anouilha, dokładnie opisany i poważnie przedstawiony przez reżysera (...)". I dalej — „Film Kritik" wyraża opinię, że „Śmierć Belli" nadaje się do kin artystycznych. Wydaje się, że stwierdzenie to zawiera dość sporo przesady. Psychologizm (nie najwyższej — przyznajmy — miary) nie przekreśla tej aury zaciekawienia, jaką dają wątki kryminalne. I film może chyba liczyć na powodzenie nie tylko w kinach studyjnych.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

IV ŚWIATOWY FESTIWAL TEATRÓW UNIWERSYTECKICH

■ W Nancy odbył się niedawno IV Światowy Festiwal Teatrów Uniwersyteckich. Z różnych stron świata przybyło tu ok. 5.000 studentów. Każdy z zespołów studenckich przygotował po dwie sztuki. Jedna według własnego wyboru i druga na zadany temat. Regulamin bowiem Festiwalu przewidywał odegranie sztuki na wyznaczony temat: w jakimś kraju, realnym lub wyimaginowanym, w dowolnie obranej epoce, młody mężczyzna (lub młoda dziewczyna) jest zatrzymany przez władze danego kraju w chwili gdy bierze udział w manifestacji grupy, która występuje przeciw uznanym autorytetom tego kraju (lub jakiejś oficjalnej organizacji jak np. wspólnota religijna, uniwersytecka, społeczna, polityczna itp.). Po aresztowaniu okazuje się, że ów młody mężczyzna (lub młoda dziewczyna) to syn (lub córka) kogoś kto w danym kraju (lub w danej organizacji społecznej, religijnej czy politycznej albo też we władzach danego regionu, miasta, uniwersytetu itp.) jest jedną z najbardziej wpływowych osobistości.

W interpretacji owego tematu, narzuconego przez organizatorów Festiwalu, wyróżnił się zespół studencki z uniwersytetu w Birmingham wystawiając sztukę, będącą przeróbką i parodią „Hamleta", przy czym unowocześniono ją w ten sposób, że w rolach tego klasycznego dzieła pojawiły się na scenie postacie, w których widzowie mogli łatwo rozpoznać polityków naszej epoki takich jak np. Churchill, Smith, Wilson, Nkrumah.

Jeśli zaś chodzi o sztukę wybraną dowolnie przez każdy z zespołów to wyróżniły się: turecki zespół z Ankary (I nagroda) i teatr uniwersytecki z Sao Paulo z Brazylii.

Turecki zespół studencki z Ankary, który zdobył I nagrodę za sztukę pt. „Palce stóp".

75 ROCZNICA URODZIN SZWEDZKIEGO PISARZA

■ Pär Lagerkvist, szwedzki pisarz, laureat nagrody Nobla, obchodził w tych dniach swoją 75 rocznicę urodzin. Urodził się w Växjö, jako syn kolejarza. Studia odbył w Upsali, a następnie w Paryżu. Początkowo współpracuje z prasą lewicową jako dziennikarz, potem zajmuje się krytyką teatralną. Odbywa wiele podróży. Jest autorem licznych wierszy, dramatów i powieści. Do najbardziej znanych utworów należą: powieści pt. „Bödeln" (Kat), „Dvärgen" (Karzeł) i dramat pt. „Seger i mörker" (Zwycięstwo w ciemności). W jego twórczości literackiej splatają się często symboliczne przedstawienie tematu z realizmem opisu szczegółów. Dzieła Lagerkvista cechuje głęboki humanizm. Zwalczał w swych utworach hitleryzm i nazistowskie barbarzyństwo.

„TRANS — EUROPA — EXPRESS"

■ Alain Robbe-Grillet realizuje film pt. „Trans — Europa — Express" według własnego scenariusza. Na treść filmu składają się dwie równoległe prowadzone akcje rozgrywające się w dwóch przedziałach tego samego pociągu.

KARIERA ANTOINE'A I NOWE GWIAZDY PIOSENKARSKIE

■ Antoine, współczesny trubadur o włosach spadających aż na ramiona, występujący na estradzie w barwnej koszuli w kwiatki, robi błyskawiczną karierę. Pisaliśmy o nim kilka tygodni temu, gdy nie był jeszcze tak sławny. Dziś zdjęcia Antoine'a ukazują się bezustannie na łamach niemal wszystkich francuskich pism ilustrowanych. Stał się bożyszczem młodzieży. Jego hasłem jest: „Mówię to co myślę i żyję tak jak chcę". Młodzież go uwielbia, a szereg młodych ludzi zaczyna go naśladować w sposobie ubierania się, noszenia włosów i w stylu życia. Antoine wybiera się wkrótce do Ameryki, gdzie ma wystąpić z szeregiem koncertów. Znawcy muzyki i śpiewu twierdzą, że ten robiący tak błyskawiczną karierę śpiewak, nie ma najlepszego głosu, a w każdym razie ma głos nie szkolony i że jego wykonawstwo piosenek nie jest znowu aż tak bardzo oryginalne, by usprawiedliwiało zachwyt. Rytm jednak piosenek Antoine'a, a zwłaszcza słowa podobają się bardzo młodzieży. Piosenki te są wesołe, często nawet zabawne, nierzadko ironiczne, ale ukazują — jak to niektórzy podkreślają — prawdę życia i to co należałoby zmienić we współczesnym nam świecie. Antoine mówi o niektórych absurdach cywilizacji, występuje przeciw wojnie i niesprawiedliwości społecznej. Zwolennicy Antoine'a podkreślają jego śmiałość i odwagę w wyrażaniu poglądów, przeciwnicy zaś twierdzą, że nie mówi on nic poza tym co już dawno powiedzieli inni.

Przykład błyskawicznej kariery Antoine'a stał się zachętą i inspiracją dla innych młodych ludzi. Ostatnio na estradach paryskich pojawiła się nowa gwiazda piosenkarska, osiemnastoletnia Annie Gautrat. Zachwyca się Antoine'em, i gdy on przez swe długie włosy i kwiecistą koszulę upodabnia się do dziewczyny, Annie upodobniła się do chłopaka. Jej ubrania mają krój męski, choć są jaskrawo kolorowe i różnobarwne. Annie chodzi najchętniej w spodniach. Uwielbia zespół „Rolling Stones". Na cześć tych chłopców przybrała pseudonim Stone. Jej uczesanie jest niemal takie same jak jednego z tych młodzieńców, Brian Jonesa. Włosy krótko obcięte, z opadającą na oczy grzywą wyglądają na jej głowie jak kask wojownika. Ekscentryczne ubiory szyje jej matka, która w młodości także była śpiewaczką. Stone również, na wzór Antoine'a próbuje stworzyć swą własną filozofię: „Śpiewam o tym co kocham: o życiu, prostych włosach i wolności". Stone ma ponadto ambicje wylansowania nowego stylu w modzie „neuter look", mody neutralnej, ani męskiej, ani kobiecej. Dwie przyjaciółki Annie to takie młode śpiewaczki ubierające się chętnie w spodnie lub bardzo krótkie spódniczki. Wszystkim trzem podobają się chłopcy o długich włosach, którzy „patrzą na dziewczęta tak jakby ich nie widzieli".

Stone w swoim pokoju. Matka przymierza jej ubranie. W głębi na ścianie fotografia zespołu Rolling Stones.

NAPOLEON PISARZEM

■ O Napoleonie napisano więcej niż 10 tysięcy książek. Mało kto jednak wie, że słynny Korsykanin sam poświęcał sporo czasu na zajęcia literackie.

W młodości przyszły cesarz Francuzów często bywał bez grosza, na wszelkie więc sposoby szukał możliwości wzbogacenia się. Próbował najpierw dzierżawić czynszowe domy, zajmował się następnie skupowaniem i odprzedażą skonfiskowanych towarów. Wszystkie te przedsięwzięcia wymagały jednak znaczniejszych wkładów kapitału, a tego Napoleon nie posiadał.

Próbował też zostać pisarzem. Duży wpływ wywarł na niego Jean-Jacques Rousseau. Z jego powieścia „Nowa Heloiza" („Julie ou la nouvel le Heloise") Napoleon nigdy się nie rozstawał. Z tej to właśnie książki czerpał natchnienie dla swych listów do Józefiny. Zdecydowawszy się na działalność literacką zaczął pisać historię Korsyki. Pracy tej jednak nigdy nie dokończył. Następnie napisał utwór o charakterze beletrystycznym, na wzór wschodnich bajek. Bohaterem opowieści był pyszny i potężny władca wschodni, któremu potem okrutna choroba zdeformowała twarz.

Gdy akademia w Lyonie ogłosiła konkurs literacki, Napoleon nadesłał rękopis zatytułowany: „Jakie prawdy i jakie uczucia należy wzbudzać w ludziach dla ich szczęścia". Spod pióra przyszłego cesarza wyszedł też inny utwór pt. „Dialog o miłości". Jest też autorem politycznej broszury.

Literackimi pracami Napoleon zajmował się przez dość długi czas nawet gdy rozpoczął już swoją wojskową karierę.

KSIĄŻKA POŚWIĘCONA STENDHALOWI

■ Victor del Litto, profesor uniwersytetu w Grenoble i założyciel klubu miłośników Stendhala (Stendhal Club) otrzymał ostatnio nagrodę „Prix de l'Alpe", od Stowarzyszenia Pisarzy Delfinatu (Delfinat — kraina historyczna w południowo-wschodniej Francji) za opublikowaną pracę pt. „Życie Stendhala".

TYTUŁ KSIĄŻKI MARCELA PROUSTA „W CIENIU ZAKWITAJĄCYCH DZIEWCZĄT" WYMYŚLIŁ SPRZEDAWCA KRAWATÓW

■ W roku bieżącym ukazały się we Francji dwie książki o wielkim pisarzu jakim był Marcel Proust. Pierwsza z nich to „Les années de jeunes" („Lata młodości"), będąca pierwszym tomem większej całości. Książka jest bestsellerem, wydana została w nakładzie 25.000 egzemplarzy. Jest to źródłowe, poważne, szczegółowe opracowanie biograficzne. Druga książką są wspomnienia jakie napisał Marcel Plantevignes pt. „Avec Marcel Proust" („Z Marcelem Proustem"). Ta, licząca prawie 700 stron książka napisana jest żywo przez człowieka, który przyjaźnił się z pisarzem. Plantevignes jest paryżaninem mieszkającym w Santier, dzielnicy dziennikarzy i sprzedawców wyrobów tekstylnych. W czasach swej młodości poznał on Marcela Prousta i obydwaj bardzo przypadli sobie do gustu. W dniu wzajemnego poznania się, Marcel Proust przyniósł mu wieczorem żartobliwą balladę jaką napisał dla niego. Przez 10 lat często się spotykali, i dopiero gdy Plantevignes odziedziczył po ojcu sklep z krawatami, widywali się rzadziej. To właśnie Plantevignes, wymyślił tytuł powieści „A l'ombre des jeunes filles en fleurs" (W cieniu zakwitających dziewcząt). Proust cenił w swym przyjacielu żywą i ciekawą wyobraźnię, nazywając go „Le chevalier fantaisie", kawalerem fantazji, zaś Plantevignes uważał autora „W poszukiwaniu straconego czasu" za „księcia myśli" (le prince de la pensée).

POLONICA

WIEŚCI Z JUGOSŁAWII

Co roku w miesiącu maju odbywa się w Nowym Sadzie (Jugosławia) festiwal teatralny. W roku bieżącym, w ramach tego festiwalu, zorganizowano międzynarodową wystawę projektów scenograficznych i kostiumów teatralnych. W wystawie wzięli również udział scenografowie polscy, a Andrzej Majewski z Krakowa za swoje projekty do baletu Igora Strawińskiego „Orfeusz" — otrzymał złoty medal. Również w Serbii, w mieście Kragujewac, wystawiono w ramach tamtejszego festiwalu „Kondukt" Bohdana Drozdowskiego. Jest to, po uprzedniej prezentacji „Konduktu" w belgradzkim „Atelier 212", druga realizacja tego dramatu na scenie jugosłowiańskiej.

AFORYZMY BRUDZIŃSKIEGO

W majowym numerze miesięcznika czeskiego „Plamen" znajdujemy aforyzmy Wiesława Brudzińskiego, ogłoszone pod wspólnym tytułem „Zmyślenia". Brudziński, publikujący stale swoje zmyślenia w warszawskich „Szpilkach", zdobywa sobie powoli uznanie jako aforysta również za granicą. Jego aforyzmy ukazały się w „Plamen" w tłumaczeniu Gabriela Lauba. Oto jedna z myśli Brudzińskiego: „Zasada krytyki — dzieło, które czytelnicy rozchwytali, nie zasługuje na recenzowanie".

O RUBINSTEINIE

W tygodniku praskim „Kulturni tvorba" (z 26 maja br.) znajduje się artykuł, poświęcony występom Artura Rubinsteina w Pradze. Autor artykułu, Jan Smolik, przypomina, że po raz pierwszy Rubinstein przyjechał do Pragi przed pierwszą wojną światową, a ostatni raz był w Czechosłowacji trzydzieści lat temu. Obecny pobyt wybitnego pianisty zbiegł się z imprezą muzyczną „Pražske jaro" (Praska wiosna). W koncertach, które dał artysta, przeważały utwory Chopina. Jan Smolik ocenia bardzo wysoko kunszt interpretatorski Rubinsteina, który (przypomnijmy to) urodził się w Łodzi, a przed kilku laty odwiedził ją w czasie swego kolejnego pobytu w Polsce.

POLONICA NIEMIECKIE

Ukazał się kolejny, czwarty w tym roku numer miesięcznika pn. „Begegnung mit Polen", wydawanego w Düsseldorfie. Na jego treść składają się artykuły o stosunkach niemiecko-polskich dawniej i dziś, stały dział „Z prasy", notujący, kto i co pisał w NRF o Polsce, również stały dział „Forum czytelników" i wreszcie bogata kronika życia kulturalnego. W części literackiej pisma znajdziemy wiersze Jana Kochanowskiego w pięknych przekładach Walburga Friedenberga, humoreskę Stefanii Grodzieńskiej, „Myśli nieuczesane" Leca, wiersz Jana Brancewicza oraz recenzje z książek polskich, które ukazały się w przekładach niemieckich, a także z książek niemieckich, poświęconych sprawom polskim.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Gorące dni maja mamy już za sobą. Nieco oszołomieni i otępiali „po mocnych uderzeniach" Dni Oświaty, Książki i Prasy, łapiemy drugi oddech.

Oddech, jak każdy objaw życia, nie ominie nas, żywych i rozsmakowanych w obfitości biesiad.

Szósty smak życia, czego ani na język, ani na węch, ani ucho, oko czy dotyk nie da się pojedynczo przełożyć, lecz jakby poza wszystkimi, istnieje i łączy zmysłów pięcioro w szósty, najpiękniejszy, to smak obcowania ze sztuką.

Gorące dni maja nie przeminęły. Łaknienie powróci jak wszystkie naturalne głody; a ten szósty, rozbudzony w człowieku, silniejszy bywa niż pragnienie.

WTOREK

Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi przyćmił swoim blaskiem inne imprezy.

A był przecież 29. V. Dzień Drukarza, tego, który przez blisko 500 lat wiernie towarzyszył ludziom parającym się gęsim piórem, piórem, wiecznym piórem, długopisem i maszyną do pisania.

Nieodłączny, wierny i nieustępliwy, a często i wyrozumiały towarzysz pisarza — drukarz.

Często miałem okazję rozmawiania z mistrzami czcionki; wiedza wielu z nich zdumiewała mnie — to byli ci, którzy nie mogli przejść obojętnie wobec myśli ludzkiej, którą składali w szpalty i kolumny.

Życzę im, żeby mieli szczęście — do dobrych tekstów.

ŚRODA

Również nie mieliśmy czasu zainteresować się bliżej szlachetną sztuką kucharską, która niezauważana podpierała nasze ciała w te dni nadwerężania ducha.

Konkurs: „Srebrna patelnia", dla mistrzów pitraszenia po staropolsku, przeszedł nam w maju „koło nosa", mimo że swoją treścią wiąże się z tradycjami polskimi, a zatem mieści w obchodach milenijnych.

Nie wszystko jednak stracone. Zwolennicy czarniny, naleśników z mięsem, zrazy wołowego zawijanego i zalewajki będą jeszcze mieli dużo czasu na odrobienie strat.

Do 15 września bowiem będzie trwał konkurs i w 22 restauracjach woj. łódzkiego znajdziemy coś odpowiedniego dla podniebienia popierającego tradycję.

Mała wszakże uwaga: zalewajka spożywana bez umiaru, stępia wrażliwość na wartości wyższego rzędu.

CZWARTEK

Otóż, i mamy nową miss Europy! Została nią 22-letnia Francuzka Maria Dornier, która posiada w biuście 93 cm (obwód!), w talii 63 cm, w biodrach 94 cm.

Proporcje imponujące. Proporcje w ogóle stanowią niebagatelny atrybut piękna. Rzecz warta głębszej analizy. Zawsze podejrzewałem, że coś w tym jest. Zawsze zdawało mi się, że w sztuce — nawet w deformacji — istnieje punkt ciężkości, wokół którego grawituje forma.

PIĄTEK

III koncert fortepianowy S. Prokofiewa w wykonaniu słynnej pianistki tureckiej Idil Biret, oraz dwie symfonie: D-dur Jakuba Gołąbka i II A. Chaczaturiana, to program koncertu symfonicznego w Filharmonii Łódzkiej. Koncert prowadził Józef Wiłkomirski w sposób znany melomanom łódzkim.

Kierownik artystyczny i dyrygent Filharmonii Szczecińskiej znakomicie uwypuklił charakter utworów, w szczególności barwność, temperament i polot chaczaturianowskiej symfonii.

Znakomita pianistka turecka podbiła widownię.

SOBOTA

Dzień zwyczajny zmusza niekiedy człowieka do czynności prozaicznych, których wszelako nie można oddzielić od tego, co nazywamy kulturą dnia powszedniego, a co wywiera niepostrzeżenie powolny, ale stały wpływ na kulturę przez duże K.

W związku z powyższym przystąpiłem do generalnego prania, gdyż szeregowe musiałem odkładać, aż wody opadną ze smoły.

Proszę o chwilę cierpliwości, wszystko spieszę wyjaśnić natychmiast.

Wpływ herbaty z domieszką smoły na zdrowie człowieka nie doczekał się dotąd szerszej naukowej publikacji, więc nie ma jak dotychczas zmartwienia. Smolne kąpiele nie pozostawiają, jak wiemy, trwalszych śladów na skórze — olejki i tłuszcze zmyją wszystko, gdy słońce pozwoli na jej odsłonięcie publicznie lub na dzikich plażach. Zatem i to mamy z głowy. Ale koszule! Nowe! Polskie — non-iron. W czarne smolne plameczki, plamki, plamy. Uprałem dwie. Z pietyzmem należnym bieli, przekonany, że po dwóch tygodniach spływania smoły z miejskich wodociągów, te ostatnie doszły do wniosku, że dowcip jest nieco za rozwlekły. Domniemałem, że chwilowa przerwa w zabawie jest jej końcem. Najpiękniejszą, wyjściową koszulę mam w smolne grochy.

Ale nie o straty materialne li tylko chodzi, (sąsiadka całą pościel i bieliznę domową zniszczyła w pralni „wieżowcowej") rzecz tkwi głęboko w kulturze. Tak, w kulturze! Nikt bowiem nie ostrzegł obywateli, że smoła w kranach. Nikt nie potrudził się poinformowaniem obywateli, jak długo taki stan będzie trwał i kiedy jego koniec! Nikt nie czuł się (i nie czuje) odpowiedzialny za stan wody, której nie można nazwać: „zdatna do użytku". Niedbalstwo? Lekceważenie człowieka? Brak zwyczajnej, elementarnej życzliwości międzyludzkiej u tych, którzy zbyt jednostronnie rozumieją kulturę narodową, a tradycyjne: uważaj, dziura(!) uważają za luksus nie mieszczący się w czynnościach administrowania.

NIEDZIELA

Na obchodach Dni Łowicza i Ziemi Łowickiej (4—5. VI. 1966 rok) było się mimo wszystko.

Folklorystyczna wystawa twórczości plastyków łowickich posiada niezaprzeczalny czar.

Występy Łowickiego Zespołu Pieśni i Tańca „Kolejarz" oraz zespołów: Podhale i Kurpie, a także zespołów Wojsk Lotniczych, miały szczególny urok i polot.

Można było zapomnieć o troskach dnia codziennego na „Karuzeli Łowickiej" i innych folklorystycznych filmach o Ziemi Łowickiej.

A jak tańczyć to tylko w Łowiczu, na zabawie ludowej!

R. Żołoda

Pigmeje wychodzą z lasu...

Tajemnicy pochodzenia najmniejszych ludzi naszej planety dotąd nie odkryto, a osobliwy układ społeczno-gospodarczy Pigmejów wywodzi się z głębokiej starożytności. Jednakże, opierając się na wynikach ostatnich badań antropologicznych, niektórzy uczeni wysuwają przypuszczenie, iż Pigmeje są pozostałością starożytnych migracji narodów, przybyłych z północnego wschodu, z Azji. Byliby więc oni potomkami starożytnej gałęzi ludzi żółtoskórych, którzy żyli też i w Afryce. Można ich przyrównać do innych nielicznych przedstawicieli ludzi o żółtej barwie skóry, zamieszkujących dziś Afrykę: Hatentotów i Buszmenów.

Autorzy większości prac etnograficznych uważają Pigmejów za „koczowników — myśliwych — zbieraczy", odgrodzonych od świata i zatrzymanych w rozwoju. Ogólnie rzecz biorąc, cały ten problem jest niezmiernie złożony.

Grupa francuskich uczonych przeprowadziła szczegółowe badania jednego z plemion Pigmejów — plemienia Babingów, które żyje w lesistych rejonach północnego Konga (Brazzaville) oraz w północno-wschodniej części Kamerunu. Wyniki tych badań są bardzo interesujące.

Pigmeje Babinga nie znają metalurgii; jedynie metalowe przedmioty: małe noże, prymitywne toporki i dziryty zawsze otrzymywali od Murzynów, dając im w zamian upolowaną zwierzynę. Murzyni dostarczają im również niewielkie gliniane naczynia, bowiem Babingowie nie umieją ich wykonać. Co prawda podczas prac wykopaliskowych na Saharze znaleziono mnóstwo skorup podobnych naczyń, lecz znacznie lepiej wykonanych. W wykopaliskach Tanezruft, w samym sercu pustyni, znaleziono przedmioty, przypominające żarna — płaskie kamienie z niewielkim wgłębieniem, powstałym od tarcia. Pigmeje nie znają żarn z kamienia. Do tego celu służy im owalny kawałek twardej skorupy, na której mielą orzechy. Pigmeje używają takich samych narzędzi, sprzętu i przedmiotów codziennego użytku, jakimi w dawno minionych wiekach posługiwały się ludy żyjące wówczas na Saharze.

Babingowie nie umieją budować chat z gliny. Wprawdzie nieraz usiłują, lecz te żałosne budowle nie wytrzymują nawet małego deszczu. Zwykłym domostwem Pigmejów są maleńkie szałasy, od metra do półtora wysokie, stojące jeden przy drugim i połączone wąskimi przejściami. Całość konstrukcji przypomina tunel. Szkielet szałasu wykonują z giętkich prętów drewnianych, wiązanych gałązkami lub linami. Dach pokrywają wielkimi liśćmi. Wewnątrz płonie ognisko, które odgania, szczególnie nocą, kąśliwe owady. Od gęstego dymu, sufit z liści pokrywa gruba warstwa tłustego kopciu. Kawałki kory z drzew, rzucone wprost na ziemię, stanowią łoże, na maleńkich plecionych półkach układają swój skromny dobytek. I to wszystko. W tak urządzonym „mieszkaniu" Pigmej spędza całe życie. W XX wieku, w erze atomowej!

Szałasy ustawia się na skraju leśnej polany. Zwykle jest ich kilkanaście. Zawsze otwarte wejście jest tak nieprawdopodobnie małe, że trzeba złożyć się we dwoje, żeby wejść do wnętrza. Nad szałasami zwisają liany, równo obcięte nożami na wysokości dachów. W górze giną w gąszczu ciemnozielonych zarośli, zakrywających niebo. Jest półmrok. Na polance, pod lekkim nawisem zieleni, zbierają się mężczyźni. Tutaj pracują, tutaj radzą i odpoczywają. W wiosce, w której żyje 15—20 rodzin przebywają dopóty, dopóki otaczający ich las daje pożywienie. Potem odchodzą, żeby urządzić się na nowym miejscu.

Osobne i najważniejsze miejsce w życiu Pigmejów zajmuje najbardziej starożytne i najbardziej doskonałe narzędzie, albo ściślej mówiąc — urządzenie, będące podstawą ich egzystencji — sieć łowiecka.

Być może, że właśnie ona wyjaśnia socjalną strukturę plemienia.

Każdego dnia, już od świtu, mężczyźni siedzą przed szałasami, zajęci sporządzaniem sznurów do sieci. Więc najpierw długie i giętkie korzenie drzew, o średnicy ok. jednego centymetra, zniesione uprzednio z lasu, oczyszczone z kory i wysuszone nad ogniem, rozdzielają wzdłuż, na dwa włókna. Następnie owe dwa pasma skręcają dłonią na biodrach, posypanych popiołem z ogniska. Powstaje z tego dość mocny sznur, z którego wiążą nowe sieci, lub naprawiają stare.

Nim pierwszy promień słońca muśnie wierzchołki drzew, grupa maleńkich ludzi opuszcza wieś. Mężczyźni niosą na plecach sieć zwiniętą w rulon. Groty i małe prymitywne toporki uzupełniają skromne wyposażenie myśliwych. Za nimi podążają kobiety, obciążone koszami. Pochód zamykają młodzieńcy, dźwigający skórzane torby, przewieszone przez plecy. Rytmiczna pieśń skraca czas i nadaje tempo marszu. Wreszcie mały oddział wkracza na rejon łowu, milkną pieśni. Cisza zupełna. Mężczyźni rozwijają sieć i mocują ją do małych pniaków. Po pewnym czasie tworzy ona obszerną „kieszeń" w którą wpadnie zwierzyna. W oblężeniu znajdują się karłowate antylopy.

Wtem, wybucha nagły i straszliwy hałas! Las huczy i dudni. Krzyki, nawoływania, stukot pałek o pnie drzew... Strwożone antylopy sadzą długimi susami wprost w „kieszeń", miotają się w sieci, zaplątują, stając się łatwą zdobyczą myśliwych. Koniec polowania. Podczas gdy mężczyźni oprawiają mięso, kobiety i młodzież zbierają w zaroślach płody ziemi — liście, jadalne korzonki, owady, mięczaki, grzyby. O zmierzchu mały oddział wraca do domu. I tak każdego dnia.

W tym krótkim opisie polowania nie chodzi bynajmniej o nakreślenie osobliwego obyczaju z życia Pigmejów, lecz o podkreślenie jego biologicznego znaczenia. Stwierdzono bowiem, iż powodzenie łowców zależy od określonej optymalnej liczby myśliwych, biorących w nim udział. Widzimy Pigmejów, powracających z pustymi rękami, kiedy liczba myśliwych była od niej mniejsza. I na odwrót jeżeli myśliwych było więcej, to znów zdobyczy nie starczało dla wszystkich. Racja przypadająca na jednego uczestnika wyprawy zmniejszała się bardzo znacznie. Wydaje się, iż środowisko, zwierzostan, liczebność grupy myśliwych, stanowią tu zasadnicze elementy równowagi przy użytkowaniu łowieckiej sieci.

Podobnie, jak wszystkie inne społeczeństwa, również i Babingowie nie stanęli w miejscu. Starodawne świadectwa wskazują na związki między Pigmejami i Murzynami. Przez długi czas kontakty te ograniczały się wyłącznie do operacji wymiennych; w zamian za mięso Pigmeje otrzymywali wyroby metalowe i niektóre produkty lasu, w tym także roślinne trucizny. Ta symbioza, o której mówi wielu uczonych, rozwijała się w kierunku zbliżenia obu ras. Dziś, wśród Babingów weszło już w nawyk spędzanie czasu w rejonach wsi murzyńskich. Pigmeje stawiają swoje szałasy w pobliżu wsi murzyńskich, czy też niedaleko murzyńskich plantacji manioku.

To postępujące zbliżenie pociąga za sobą głębokie zmiany w społecznych stosunkach tych obu ludów. Na przykład teraz Pigmeje proponują Murzynom nie tylko mięso i płody ziemi, lecz również swoją pracę przy zwalaniu drzew, karczowaniu lasu pod przyszłe plantacje manioku, przy poszukiwaniu i dostarczaniu niezbędnych materiałów do budowy chat z gliny itp.

W życiu Pigmejów myślistwo i zbieractwo odchodzą stopniowo na dalszy plan. Babingowie polują coraz rzadziej, a niekiedy nie polują w ogóle. Zaobserwowano, iż pewna grupa Pigmejów, która w latach 1954, 1957—59, polowała regularnie, już po upływie 4 lat prowadziła łowy niechętnie, a i to nie zadając sobie trudu, gdyż w bezpośrednim pobliżu wsi, gdzie zwierzyny nie było i gdzie jej być nie mogło. W konsekwencji powstały braki aprowizacyjne. I oto w „menu" Pigmejów pojawia się nowy produkt — maniok. Jednakże w przeciągu zaledwie kilku lat nie mogli oni przejść bez wstrząsów od myślistwa i zbieractwa do prymitywnej gospodarki wiejskiej. Niektórzy próbują zaorać niewielki kawałek wolnej ziemi i zasadzić na niej maniok. Lecz nie znają elementarnych zasad uprawy siewów, i niebawem, te nieporadne plantacje, zarastają chwastami, stając się łupem lasu. Nie umieją też określić wzajemnego stosunku między powierzchnią zasiewu a liczbą konsumentów. W sumie, Pigmeje żyją na rachunek plantacji Murzynów, które są znów za małe, żeby wyżywić wszystkich. Więc co robią? Nocami kradną maniok z murzyńskich plantacji. W szałasach jedzą surowe bulwy manioku, nie czyszcząc ich od trujących kłączy. W rezultacie ciężko chorują.

Czy Babingowie znajdą się w szeregach wiejskiego proletariatu? Przyszłość pokaże. Jest jednak pewne, iż Pigmeje, uświadomiwszy sobie swoje zacofanie, wystąpią pewnego dnia z żądaniem zmian społecznych. Spotkano się już z faktami, kiedy to wzrost świadomości uciskanych plemion spowodował bezpośrednie wystąpienia przeciwko ciemiężcom. Są już tego pierwsze oznaki: liczne skargi Babingów na ucisk.

Badania naukowców szły, przede wszystkim, w kierunku osiągnięcia celów praktycznych. Ponadto pragnęli oni głębiej poznać tę oryginalną cywilizację, która ignorowano bardzo długo i niesprawiedliwie. Czego tylko nie poddawano w wątpliwość, gdy kwestia dotyczyła Pigmejów! Mawiano nawet, że nie mają własnego języka. Jednakże wyniki badań francuskiego uczonego Claude-Ouchine'a świadczą o czymś wręcz odwrotnym: Babingowie mają oryginalny, własny język. Co więcej, udowodniono ich jednolitość kulturalną. Legendy i podania, zebrane wśród różnych plemion Pigmejów, były zrozumiałe i znane całemu plemieniu Babingów.

Kultura Babingów nie ogranicza się wyłącznie do legend. Mieści również w sobie bardzo złożoną filozofię i w niczym nie ustępuje kulturze innych narodów afrykańskich. Idee Babingów wyrażają się najpełniej w licznych tańcach i pieśniach, częstokroć bardzo pięknych. Należy tu wspomnieć, iż reputacja Pigmejów, jako znakomitych tancerzy, sięga czasów głębokiej starożytności. Znany jest list faraona Neferkara (ok. 2400 r. p.n.e.) do dowódcy egipskiej ekspedycji wojskowej w krainie Punt Cherkuf, w sprawie pewnego jeńca Pigmeja. W liście, nakazując dobre traktowanie jeńca, faraon pisał m. in.: „Pozdrawiam boskiego tancerza, który weseli serce, za którym tęskni król Neferkara. Niech żyje wiecznie!..."

Pigmeje wnieśli duży i oryginalny wkład do bogatej i różnorodnej, kulturalnej puścizny Czarnej Afryki. Już dziś, niektóre młode afrykańskie państwa pragną polepszyć ciężką sytuację Pigmejów, włączyć ich do społecznego i ekonomicznego organizmu swoich krajów. **(W. ST.)**

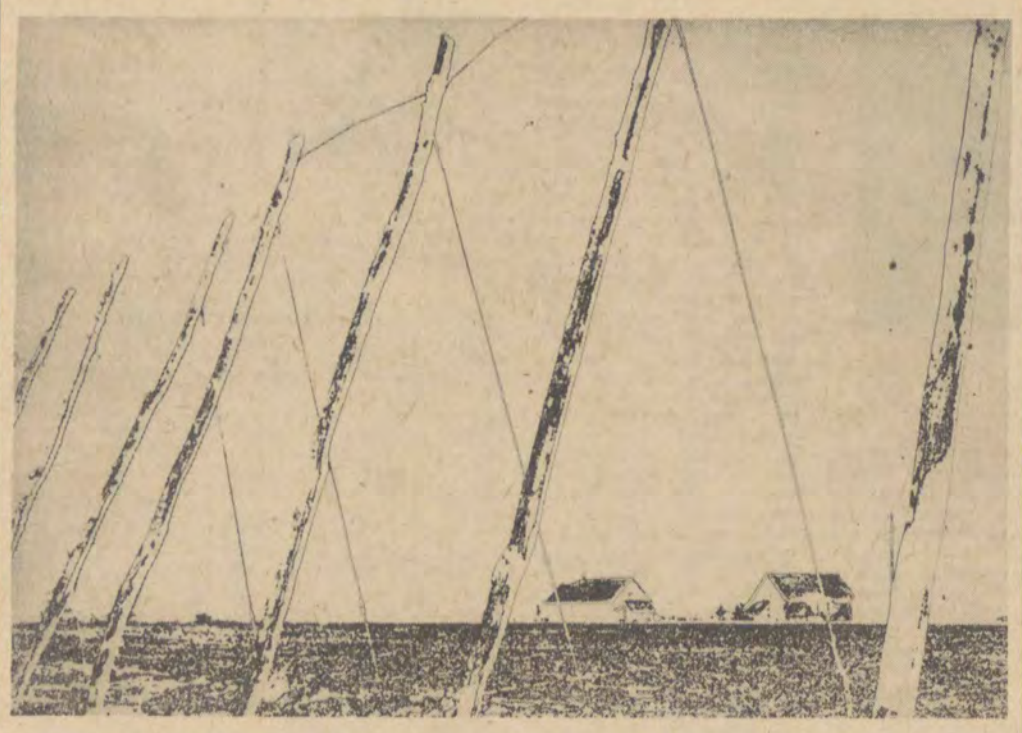

„Plantacja chmielu". *Fot. E. Przybyłowicz — AFIAP*

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

METODA BALKONOWA

Przez wiele miesięcy po wprowadzeniu samoobsługi w łódzkich autobusach nie było wypadku przejechania trzech przystanków bez kontroli. Niewykluczone, że wszyscy konduktorzy awansowali wówczas na kontrolerów: jeden wysiadał, drugi wsiadał; tak, że praktycznie wóz jeździł stale z pełną dwuosobową obsługą. No i przyzwyczajono publiczność. Dziś kontrole są znacznie rzadsze, a scen przychwycenia pasażera jadącego na gapę obserwuje się mało. Okazuje się, że można ludziom wdrożyć nałóg uczciwości.

W tramwajach szło to może oporniej, ale też wydaje mi się, że więcej gapowiczów jeździ wagonami z konduktorem, niż samoobsługowymi. Pchamy się do dziurkaczy z rzetelną obywatelską gorliwością, przynajmniej my — posiadacze abonamentów służbowych, które tak, czy tak wykorzystać można tylko na ściśle określonej trasie. Pchamy się — i opuszczamy ręce zawiedzeni. Dziurkacza na pomoście, przy wejściu, nie ma. Nie wiem czy to dzieci psują, te same mityczne dzieci, które demolują budki telefoniczne, czy może celowo pozdejmowano automaciki, w wyniku jakichś tam poczynionych obserwacji i doświadczeń. Pchamy się więc dalej, mniej więcej do połowy wozu, gdzie wreszcie można dokonać wyzwalającego obrzędu „przebicia" biletu. W godzinach szczytu to nie jest takie proste, pół wagonu to jednak kilkanaście osób; można podawać z rączki do rączki — wówczas każda z tych kilkunastu osób ma zajęcie kilkanaście razy. Nie każdemu się chce; o szóstej rano wszystko w człowieku drzemie, zimno, dajcie mi spokój. Gorliwi obywatele pchają się osobiście, wreszcie zgęszczenie w przodzie wozu wzrasta do granic możliwości, a tył pozostaje prawie pusty, albo też tłoczymy się we wszystkie strony: do dziurkacza, od dziurkacza, w przód i do tyłu.

Dwa razy jednak zdarzyło mi się jechać z jeszcze dalej posuniętym usprawnieniem: albo w połowie wozu dziurkacza nie było, albo była sama podstawka. Dopiero przy samym wyjściu działał ostatni, jedyny dziurkacz, oczywiście przeznaczony dla tych, co wsiadają przodem. W takim układzie, przy założeniu, że ludzie są aniołami, wszyscy podają bilety wszystkim, cały tramwaj ma niemożebną zabawę, a pani, stojącej przy dziurkaczu, ręka puchnie od trzaskania w przycisk. Jeśli to nie są anioły, tylko zmęczeni, podenerwowani łodzianie — rezygnują i czekają na stopniowe przesuwanie się do przodu. Jasne, nie doczekają się. No to nie, to nie „przebiją".

Jest taka bardzo prosta metoda balkonowo-zegarowa. Mianowicie — kiedy na jakiejś ulicy spadnie ze starości i z braku konserwacji kawałek balkonu, wzywa się straż pożarną i obtłukuje dokumentnie wszystkie balkony w zasięgu spojrzenia. Profilaktycznie. Kiedy wielki, uliczny zegar, jeden z czterech czy pięciu w całym naszym niemałym mieście, zacznie się zacinać i pokazywać miesiące zamiast godzin — zrywa się zegar. Zostaje tylko nazwa księgarni: „Pod Zegarem". Ale i nazwę można potłuc lub zerwać, a szpetne czerwone blizny na fasadach domów po paru latach przestaną razić przechodniów. Wszystko jest znacznie tańsze, niż konserwacja balkonów i zegarów, myślmy więc ekonomicznie.

Nie wiem, czy taki sam jest powód znikania dziurkaczy z samoobsługowych wozów tramwajowych: złamie się przycisk, pęknie sprężynka — dawaj, zlikwidujemy cały interes. Metoda balkonowa. A kiedy znikną już wszystkie dziurkacze, zlikwidujemy tramwaj. Po co ludzie mają się śpieszyć, jak stare zegary?

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1665 V.66. E-11